CENA 15 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

CZYTELNIK

Odra

Tygodnik

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej.
Józef Kisielewski: „Ziemia gromadzi prochy"

NUMER 32 (89) | KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN — OLSZTYN, DNIA 10 SIERPNIA 1947 ROKU | ROK III

Delegaci polscy na czerwcowy kongres PEN-klubu w Zurychu, Michał Rusinek i Aleks. Wat podzielili się na łamach „Nowin Literackich", „Odrodzenia" i „Przekroju" spostrzeżeniami z obrad kongresowych. Sprawa przyjęcia do PEN-klubu pisarzy niemieckich stanowiła główną treść batalii zuryskiej. Już obrady zuryskie przekonały nas, że wewnętrzny zdawałoby się problem PEN-klubu ma szerokie, polityczne, ogólnoświatowe tło. Z tego punktu widzenia sprawa nabiera szczególnej ważności i stanowi jeden z fragmentów walki o Niemcy. A oto historyczny szkic problemu w ramach nieco szerszych, niż to podały sprawozdania polskie.

WILHELM SZEWCZYK

W sprawie bitwy pod Zurychem

DWAJ WYSŁAŃCY

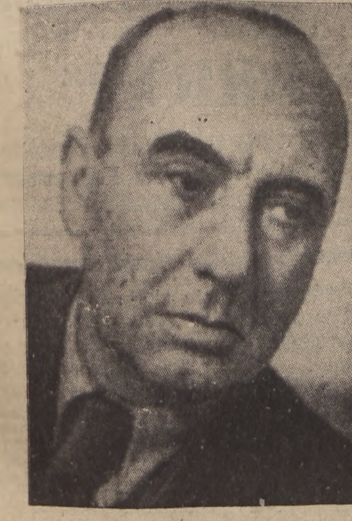
Klub poetów, essayistów i nowelistów, zwany w skróceniu PEN-klub powstał w r. 1922, a trzy pierwsze swe doroczne kongresy zwołał do Londynu, Paryża i Nowego Jorku. Sekcję niemiecką założono w roku 1924. Wczesnym latem 1926 zjawili się w Londynie pod zielono malowa-



Alfred Kerr.

nymi drzwiami nr. 55, Great Ormont Street, London WC1, młodzi wysłańcy z Niemiec. Mały szyldzik na drzwiach głosił: Herman Ould. Mr. Ould, — n. b. jeden z główn. gener. tegorocznej batalii zuryskiej — przyjął wysłańców serdecznie i z powagą przeczytał listy polecające, które dano im w Niemczech. Następną wizytę złożyli niemieccy młodzi wysłańcy Johnowi Galsworthy'emu późniejszemu długoletniemu prezesowi klubu, mieszkającemu wonczas w północnej dzielnicy Londynu. Również i faktyczna założycielka klubu Mrs. Dawson-Scott poczęstowała posłów herbatą w ogródku.

Przypominam to zdarzenie, gdyż ma ono ścisły związek z tegoroczną bitwą pod Zurychem. Były to wówczas pierwsze próby niemieckie zdobywania niedawno powstałego klubu, pierwsze preregrynacje do zielonych drzwi Mr. Ould'a. Sprawa nie wydawała się trudna. Dwie literatury płynęły wówczas w Niemczech: z jednej strony piśmiennictwo rewolucyjne, śmiało wykpiwające wilhelminizm, militaryzm, pruskość na codzień i od święta, — było tu sporo nazwisk szanowanych, a więc Mannowie obaj i Zweigowie, Kellermann i Wassermann nadto burzliwa grupa ekspresjonistów, wśród których szczególną gwałtownością odznaczała się czołówka marksistowska, twórcy monachijskiej republiki rad, którzy nie padli z nią i nie mieli paść z rokiem 1933. Do tego piśmiennictwa świat miał zaufanie, widział, że gromi ono słusznie i z odwagą, że jest za to atakowane. Bo obok płynął nurt literatury, „nacjonalnej" i „ojczyźnianej", z pierwszym prorokiem „przestrzeni życiowej" Hansem Grimmem z neoromantykami i mistykami, z byłym socjalistą i naturalistą Gerhardem Hauptmannem, z parnasistą, ale wkrótce także i piewcą III Rzeszy Stefanem George'm. Tę grupę nazwano w Niemczech „Heimliches Deutschland"



Johannes R. Becher.

a w nazwaniu tym była i tajemnica i laboratorium zbrodni.

Wróćmy do wysłańców. Sprawili się dobrze w Londynie. Wypili swoją herbatę, napakowali książek do waliz, wzięli do kieszeni paczkę urzędowych listów i pognali do Berlina z programami kongresu, który tego roku odbyć się miał w Berlinie.

BANKIET W KAISERHOFIE I PRÓBA NIENAWIŚCI

Właśnie w Berlinie, w tej zwyciężonej stolicy po trzech zwycięskich — zebrać się mieli pisarze świata, dążący do pokoju i poszerzania dobra. Cóż dobrego mogli Niemcy anno 1926 pokazać pisarzom z całego świata? W Niemczech szalały wówczas strajki. Ale i Anglię w tym samym czasie wysuszał strajk węglowy, trwający już długie tygodnie. W Niemczech panował kryzys rządowy. Aleź i w Anglii rząd miał zmartwienia, nie cieszył się sympatią. Wielkie referendum na temat odebrania dóbr książętom było już widowiskiem smutnym. Widziało się wyraźnie, jak te same siły, które w literaturze nosiły miano „tajemnych Niemiec", w życiu politycznym i gospodarczym przeciwstawiają się wyprostowaniu dróg po przegranej wojnie. Znowu wielbiono bieg dróżek krętych, gdzie na każdym zakręcie, będąc niewidocznym na szlaku można było zabić przechodnia, zniszczyć przeciwnika, wybudować bunkier.

Świat tęsknił za zdrowiem. Ta garść dobrych i szczerych słów, wywołujących wizję pokoju i wizję walki z odwiecznym złem niemieckim, ta garstka słów, którą rozsypali zrewolucjonizowani pisarze pierwszej grupy na kartach swych książek zachwyciła świat. „Dajemy Niemcom poważną szansę" — powiedział wówczas Mr. Ould — „mamy do nich zaufanie". Sami Niemcy, rozumiejąc znaczenie tego gestu, nazwali go „gestem wspaniałomyślnym".

Na bankiecie w Kaiserhofie wymieniono sporo toastów. Przewodniczący grupy niemieckiej Ludwig Fulda ściskał serdecznie rękę Johna Galsworthy'ego. Świat zdawał się wierzyć w pokój, a dali temu wyraz w przemówieniach Jules Romains, Jan Fabricius i Karin Michaelis. Ale już podczas wycieczki do Poczdamu, grupa młodych ludzi, towarzyszących delegatom wypowiadała uszczypliwe uwagi pod adresem niektórych delegatów pochodzenia żydowskiego. Była to próbka nienawiści, którą spostrzegli sami Niemcy. Henryk Mann przypomni to potem w swych napisanych we Wiedniu wspomnieniach.

NAD ADRIATYKIEM

Do Mr. Oulda częściej teraz przyjeżdżać będą Niemcy. Ale mniej optymistyczne głosić będą wieści. Polityczne napięcie wyładuje się m. in. w słynnym podpaleniu Reichstagu. W literaturze utworzyły się trzy fronty. Między dwoma wyżej wymienionymi powstał trzeci, który przyznaje się do nacjonalizmu, ale radby nie rwać związków międzynarodowych. Błyskawice widać było nad głowami czcigodnych członków pruskiej akademii sztuk, sekcjach literatury i w najmniejszych grupkach, kółkach, zespołach. Pierwsi pisarze via Praga, Paryż lub Amsterdam opuszczają Niemcy. Sto tysięcy egzemplarzy „Mein Kampfu" krąży po Niemczech i zatruwa dusze. Powstają pierwsze wiersze o Hitlerze. Jeden z takich panegiristów, nadto płatny przez Hohenzollernów biograf rodu, Edgar von Schmidt-Pauli, stanął na czele „nacjonalnej" grupy niemieckich członków PEN-klubu i pojechał w tym charakterze na kongres, który w czerwcu 1933 zwołany został do Dubrownika nad Adriatyk.

Cierpliwość delegatów była wówczas wystawiona na poważną, biblijną niemal próbę. Ostatecznie ściskać mieli rękę Niemcom, którzy brali udział niedawno bo 10 maja w publicznym paleniu książek przeważnie swych kolegów, bez słowa protestu wysłuchiwali ekskomunik Goebbelsa, który jak mały kulawy diabełek na tle otwartej buchającej czeluści piekła wypowiadał zaklęcia przynoszące wieczną hańbę kulturze i literaturze niemieckiej.

Rzecz jasna musiało dojść do starcia. Ernst Toller, blady Żyd z poznańskiego Szamocina, jeden z twórców monachijskiej republiki rad, niespokojnie wyciągnął białe wąskie ręce i pytał głosem upoważnionego do oskarżenia:

— Gdzież opór inteligencji niemieckiej przeciw pierwszym żydowskim pogromom? Dlaczego nie protestowała przeciw paleniu książek?! Dlaczego nie broni traconej gwałtownie wolności ducha?!!

Von Schmidt-Pauli przyznał wprawdzie, że to i owo zdarzyło się w jego ojczyźnie, co można by uznać za wystąpienie przeciw ludzkości, ale delagacja niemiecka nie jest zobowiązana do wysłuchiwania oskarżeń ze strony Ernsta Tollera i Szaloma Asza. Protestem niemieckim (!) zakończyło się jedno z posiedzeń. Na dalszych delegaci niemieccy zasiedi w trybunach jako słuchacze.

DWIE DROGI

Obie drogi literatów niemieckich rozeszły się definitywnie w listopadzie 1933, kiedy to na posiedzeniu egzekutywy PEN-klubu w Londynie doszło do ostatecznego wystąpienia sekcji niemieckiej z klubu. Zrazu nazwała się ona „Unią pisarzy narodowych", ale pod nazwą tą także nie żyła długo. W międzyczasie w Niemczech dochodzi do ostatecznych porachunków w grupie pisarzy o myśleniu międzynarodowym. Kto nie uszedł za granicę, musi milczeć lub terminować u nowych mistrzów. Na milczenie zdobywa się niewielu (Kästner), inni piszą, zdobywając nieraz obok miejsca w obozie również nowe uznanie, nową głośniejszą sławę (Wiechert). Goebbels zabrania wszelkich międzynarodowych związków i przyjaźni. Hitler po sprawie z Ossietzky'm zabrania Niemcom przyjmowania nagrody Nobla, tworzy własną niemiecką nagrodę, rozdziela medale. Nowopowstała Reichschriftungskammer, Izba Piśmiennictwa Rzeszy, skoszaruje twórców i dzieła. Zapiszą się do niej i współpracować z nią poczną nawet nieprzejednani zdawałoby się pisarze, jak np. Kellermann.

W Londynie powstanie natomiast przy PEN-klubie grupa niemieckich emigrantów, część z nich przyjmie obce obywatelstwa i w tamtejszych PEN-klubach znajdzie miejsce.

W roku 1934 w Edynburgu, w roku 1936 w Buenos Aires, w roku 1937 w Paryżu — rokrocznie mówi się na kongresach PEN-klubu o sprawie Niemiec, o literaturze w Niemczech, o potrzebie wolności ducha w Niemczech. Po zmarłym Galsworthym, prezesem zostaje H. G. Wells, który zasmakował w tej walce o Niemcy. Emigranci niemieccy tłumaczeni uparcie na wszystkie języki świata — co jest widocznym protestem ludzkości przeciw wypadkom w Niemczech — głoszą istnienie Niemiec niezależnych, coprawda wygnanych z ojczyzny, ale niemniej ufnych.

JAWNOGRZESZNICA

W r. 1945 wracają do Niemiec pierwsi literaci, reemigranci. Na terenie Berlina pojawiają się w mundurach wojsk sprzymierzonych — pisarze niemieccy z Moskwy i z Londynu, z Nowego Jorku i z Paryża. 66-letni Bernhard Kellermann, autor „Tunelu", zgłosi się do Kulturbundu; Fallada przystąpi do zrehabilitowania się z ostatniego niepięknego okresu współpracy z Goebbelsem pisaniem powieści demaskujących minioną epokę hitleryzmu; na zachodzie Ernst Glaeser, były emigrant co na kolanach wrócił do Goebbelsa, by zostać redaktorem gazety frontowej, wyda na nowo „Ostatniego cywila"; Ricarda Huch, staruszka stojąca już ponad czasem, napisze list otwarty do Tomasza Manna. Johannes R. Becher, ongiś piewca pięciolatek sowieckich zadmie w surmy żarliwego patriotyzmu. Wszyscy są optymistami. Reemigranci ci wyobrażają sobie, że naród niemiecki pozostał takim, jakim go opuszczali; nie widzieli go u wrót komór gazowych, ani w kompaniach SS na frontach. Tęsknili za nim, będą znajomych witać. Pisarze skompromitowani współpracą z hitleryzmem bo pamiętają pobłażliwość, z jaką świat potraktował Niemcy po pierwszej wojnie światowej, a zresztą każdy z nich ma swojego Żyda jako świadka obrony na wypadek procesu denacyfikacyjnego. (Okazało się to w procesie Mirka Jelusicha, którego broniła rodzina zmarłego w Nowym Jorku Fr. Werfla; także Furtwänglera ratowali muzycy pochodzenia żydowskiego). O ile optymizm pierwszych będzie pomyłką, o tyle drudzy dobrze obliczyli swe szanse na demokrację. W dzisiejszych Niemczech wzrastają one ustawicznie i to tylko będzie tragiczne. Reszta będzie śmieszna i mała.

Wszystkim natomiast bardzo przypadnie do serca matafora biblijna Bechera: „Niemcy to jawnogrzesznica; cały świat widział jak grzeszyła, za jej grzechy pokutowały narody. O, Niemcy! jawnogrzesznico, bij się w piersi, wyznaj swą winę, a będzie ci odpuszczone, jak odpuszczono już niejednej Marii Magdalenie wśród narodów."

Takie było pochodzenie i kierunek pierwszego optymizmu.

PODRÓŻ W RZECZYWISTOŚĆ

Wyjazd delegatów niemieckich na tegoroczny kongres PEN-klubów do Zurychu nazwano w Niemczech podróżą w rzeczywistość. Po optymistycznych przypuszczeniach trzeba się było wybrać w podróż, by dokonać pierwszej po wojnie międzynarodowej próby sił w dziedzinie stosunków literackich między zgnębionym światem, a rozbitymi Niemcami. Optymizm prześladował Niemców na długo przed kongresem. W Hamburgu miesiąc wcześniej trzej tamtejsi pisarze z Hansem Hennym Jahnnem na czele ubiegli decyzję zuryską zawiązując samozwańczą sekcję północnoniemiecką.

W Zurychu — znamy już to już ze sprawozdań ogłoszonych w prasie polskiej — optymizm zgasł i przeszedł w rozpacz. Bitwa pod Zurychem rozegrała się na trzech płaszczyznach. Pierwszą płaszczyznę stanowiły targi niemiecko-anglosaskie, o których sprawozdawcy polscy zdaje się nic nie wiedzieli, a o czym wspomina prasa niemiecka. Mr. Ould przez wojnę niejedną przyjmował delegację niemiecką, teraz po wojnie postanowił zrealizować wynikły z tych rozmów program. Druga płaszczyzna była terenem burzliwego starcia, z jednej strony stanęli „sceptycy", przedstawiciele krajów okupowanych, wyjątkowo jednolicie tym razem występujący w sprawie niemieckiej (oby to było przykładem dla polityków i ekonomistów), z drugiej — załzawieni delegaci niemieccy i ich obrońcy. Trzecią płaszczyzną była opinia niemiecka w kraju i na tej płaszczyźnie bitwa toczy się nieprzerwanie już od kilku miesięcy, przy czym po stronie opinii stanęli ostatnio także przybyli z kongresu delegaci.

„Jest rzeczą pożałowania godną — powiedział Becher w Zurychu — że przed otwarciem dyskusji nad utworzeniem niemieckiej sekcji nie dano możliwości żadnemu z żyjących w Niemczech literatów, by omówił położenie w Niemczech". Na kilkunastu już kongresach PEN-klubu mówiono o położeniu w Niemczech, tym razem — tak pisze prasa niemiecka — należało do tego dopuścić tym więcej, że Niemcy są naprawdę inne. Becher domagał się obiektywizmu, sprawiedliwości i rozsądku. Projekt komisji gwarancyjnej nazwał — bezsensownym i nieludzkim. Wskazał raz jeszcze na rzekomy liczny udział pisarzy niemieckich w niemieckim ruchu podziemnym. Polemizował z Francuzem Vercorsem, który uważał, że należy zaczekać z utworzeniem niemieckiego PEN-klubu, dopóki nie staną w Europie Niemcy pokojowe. Becher walczył, bo czuł, że jeśli nie rzuci na szalę wszystkich argumentów, po powrocie do Niemiec stoczyć będzie musiał straszliwą i nierówniejszą walkę z zawiedzioną opinią.



Ernst Wiechert (od lewej) i Erich Kaestner.

GWARANCJE TOMASZA MANNA

Prócz trzech delegatów niemieckich z kraju — Bechera, Kästnera, Wiecherta — sprawę Niemiec reprezentowali Tomasz Mann, obecnie obywatel amerykański i Alfred Kerr, obecnie obywatel angielski, pisarze pozbawieni przez Hitlera obywatelstwa niemieckiego. Wystąpienie T. Manna za utworzeniem sekcji niemieckiej zdziwiło trochę opinię niemiecką. Od dwóch lat musi ona pozwolić sobie na wysłuchanie gorzkich słów krytyki, których T. Mann nie szczędzi niemieckiemu życiu. Autor „Czarodziejskiej góry" obiecał gwarantować osobiście za kilkunastu pisarzy, którzy jego zdaniem bezwzględnie zasługują na to, by być członkami PEN-klubu. Oto podana przez niego lista: Ricarda Huch, Anna Seghers, Fritz von Unruh, Theodor Plievier, Friedrich Wolf — dotąd wszystko w porządku, z wyjątkiem Ricardy Huch są to pisarze emigracyjni, paleni na stosie, wyklęci przez hitleryzm. Następne podane przez niego nazwiska należą jednak do członków lub współpracowników hitlerowskiej Izby Piśmiennictwa Rzeszy, do mniej lub więcej skompromitowanych współpracą z hitleryzmem. A więc wyjąwszy Bernharda Kellermanna — który choć tolerowany przez hitlerowców niczym w twórczości swojej nie przyczynił się dla ich sprawy — spotykamy tu figurującego we wszystkich hitlerowskich podręcznikach Manfreda Hausmanna, Karla Jaspersa, który nie spodobał się nawet kongresowi, gorliwych współpracowników pism hitlerowskich Ernsta Peutzoldta, Hansa Reisigera i Karla Bartha, redaktora działu literackiego „Krakauer Zeitung" W. E. Süskinda. Sam Wiechert nie jest bez grzechu, a krótki pobyt w obozie nie wystarcza do zmycia win.

Lista podana przez T. Manna dowiodła, jak ciężko jest wyrokować człowiekowi, żyjącemu od lat kilkunastu zdala od Niemiec. Zresztą i tę listę zaatakowała opinia niemiecka, a Becher chciałby ją widzieć pomnożoną o kilkadziesiąt godnych tego nazwisk.

PO POWROCIE

Po powrocie do kraju delegaci niemieccy zdawali sprawozdania. Becher przemawiał w Berlinie. Z przemówienia wynika, że z doświadczeń zuryskich wyciągnął sporo wniosków. „Świat nie ma do nas zaufania, w czym sami zawiniliśmy. Nasze wewnętrzne spory bowiem i dyskusje muszą mieć inny charakter. Każda nierzeczowa krytyka szkodzi nam za granicą". Kästner na łamach monachijskiej „Die Neue Zeitung" kontynuował płacz zuryski. Stwierdził, że przemówienia krytyczne padały najczęściej pod złym adresem. „Wygląda tak, jakby cały naród niemiecki razem ze strażnikami obozów koncentracyjnych stawiał wniosek o przyjęcie do PEN-klubu. Vercors... zarzucił naszym antyfaszystowskim pisarzom, że milczeli... ha, gdyby tego nie uczynił to kongres nie musiałby sobie już więcej łamać głowy nad procedurą ich przyjęcia". Kästner zarzuca także niektórym mówcom, że zbyt wyraźnie przemawiali dla czytelnika gazet swego kraju niż dla sali kongresowej. „Winą jest — pisze Kästner — że dwa lata po wojnie wciąż jeszcze Niemcy przechodzić muszą kwarantannę. Że nikogo się nie wpuszcza, prócz polityków partyjnych i księży... Pozwólcie nam wrócić do międzynarodowego życia i współżycia, do naszych przyjaciół za granicami, do prawdziwej demokracji".

Sprawozdania niemieckie jak widzimy nie wymagają komentarza. Punkty wyjścia są tak różne, że wszelkie próby porozumienia gasną od razu. Bitwa trwa jednak dalej. Oto jak dalszy jej program nakreślili sobie Niemcy: „Teraz już tylko przez osobiste stosunki możemy wygrywać. Doświadczenia zuryskie pokazały nam, że zbyt obszerne gremium, może łatwo terroryzować pierwszy lepszy demagog. Wiemy, już teraz, kto jest sercem z nami. Pójdziemy na prywatne rozmowy do Mr. Oulda i księcia Wilhelma szweckiego, do Goffina, Saurata, Chapmana, Goldinga i tylu innych naszych rzeczywistych przyjaciół. Na następnym kongresie za nami stać będzie twardy zespół, który oby się nie dał więcej terroryzować mniejszości". (Der Tagesspiegel). Więc znowu nawołują do podróży. Znowu wysłańcy goszczeni herbatą na Great Ormont Street, poszerzać mają niemiecką wolność, za którą postępuje zawsze i nieuchronnie swawola wobec reszty świata.

DĄŻENIE DO ZDROWIA

Dwadzieścia przeszło lat niemieckich starań i walk o PEN-klub to, jak widzimy równocześnie dwadzieścia lat historii Niemiec. W tej międzynarodowej organizacji jak w lustrze odbijają się sprawy Niemiec w minionym dwudziestoleciu, cała dwoistość ich kultury i literatury, skomplikowany problem winy i walki. Stosunek sprawy niemieckiej do PEN-klubu i odwrotnie to zarys historii ruchu literackiego w tej części Europy, dzieje dążenia do zdrowia. Stosy z książkami z 10 maja 1933 wystają, wysoko dymiąc, ponad całe te lata. Tych stosów zapominać nie wolno. Dążenie do zdrowia to leczenie a nie przebaczanie lub zapominanie. Choroba niewyleczona, choćbyśmy i o niej zapomnieli, kąsać pocznie po latach na nowo. Wiemy, że pisarze niemieccy dziś mocniej są związani ze swym narodem, niż kiedykolwiek indziej. Że trudniej im zdobyć się na obiektywizm. Ale ustępliwość będzie słabością, a może być nową klęską.



Tomasz Mann.

Sprawy minionego kongresu w prasie świata noszą cechy prawdziwej walki. Walka ma tło szersze, jest ono wspólne i polityce i literaturze. „Dajcie nam wszystkie możliwości, a będziemy mieli w Niemczech wspaniałą demokrację" — wołają pisarze i politycy niemieccy. Tak jakby demokracja zależała wyłącznie od możliwości lub warunków. Jednym z tych warunków miało być bezwzględne zaufanie do pisarzy niemieckich na terenie PEN-klubu. Kästner ostrzega, że bez tego pisarz niemiecki nie zgromadzi w swej dłoni dość argumentów, potrzebnych w wewnętrznej walce ideowej w Niemczech powojennych.

I znów widzimy, jak różne są punkty wyjścia — ich i nasz.

Bitwa pod Zurychem postawiła w ogóle najważniejsze pytanie: co zrobić z niemieckim życiem literackim, co zrobić z pisarzami? Z jednej strony przydałaby się jakaś literacka Norymberga. Stu blisko pisarzy hitlerowskich czeka na sąd, a ponieważ nie może się go doczekać, przenikają w życie, piszą, rehabilitują się, szukają przyjaciół. Z drugiej strony grupa pisarzy antyfaszystowskich ulega czytelnikowi, daje się terroryzować, pozwala się odurzać patriotycznie. Vercors powiedział wyraźnie, że nie ma się co spieszyć. Ale i to stanowisko nie wydaje się zupełnie słuszne. Po pierwsze polityka ubiegnie literaturę, po drugie brak kontroli niemieckiego ruchu literackiego doprowadzi do ciekawego, a niezbyt potrzebnego w tej chwili wymieszania się frontów na terenie Niemiec, pisarze hitlerowscy zbliżą się do antyfaszystowskich, przyjaźni takich zawarto już sporo. Któż potem taki front przełamie?

Wydaje się zatem rzeczą słuszną, by czy to przez PEN-klub czy też za pomocą jakiegokolwiek innego czynnika międzynarodowego zaczęto współdziałać w kształtowaniu nowych literackich Niemiec pod hasłem zdrowia. Nie jest tu rzeczą ważną, czy Niemcy będą członkami PEN-klubu czy też nie, ważną natomiast jest rzeczą, by PEN-klub zajął się Niemcami bez względu na ich ewtl. przynależność członkowską do



Poeta francuskiego ruchu oporu, autor „Le silence de la mer" — Vercors.

klubu. Trzeba wiele spraw w niemieckim życiu literackim uregulokwać. Uczynić to należy z tego samego tytułu, z jakiego Rada Sojusznicza reguluje i kształtuje życie polityczne i gospodarcze Niemiec.

ALEKSANDER BAUMGARDTEN

1794

Od rana biły werble, przez mundsztuk trąby grały,
świt spłynął gołębiami pod stopy Sukiennicom,
gdy wyszły jasne szlify w tak zwane pole chwały
choć chwała była niechętna, kosom i Racławicom.

Aż ją złapali za gardło, aż ją rzucili o ziemię
i wzięli w dymie prochowym, jak swoją babę w sąsieku,
zadzwoni piosnka żołnierska, jak szabla w marszu o strzemię
o tej wiktorii zgrzebnej, co pójdzie boso przez wieki.

Jedno jest w piersiach serce i jedna kosa w ręce,
kul znacznie więcej mają te jegry Tormasowa,
lecz krzywd co masz na barkach, nie zmieścisz w tej piosence,
najłatwiej jest zapomnieć, najtrudniej je zrachować.

Przestańcie, panowie bracia — wrzeszczeć, że broń nie nabita:
chłop jest zawziętszy niż śmierć, — chłop darmo słowa nie powie —
kiedy zabraknie ładunków, wyciągnie je z piersi zabitych,
podsypie prochu i plunie z powrotem — w ślepia wrogowi.

„Ostre są kosy nasze" — runęła kośba wspaniała,
zagrzmiały salwy armatnie, koń tańczy pod Naczelnikiem,
już tną, już mają działa — lecz cóż to? — Szarżę wstrzymała
złocista, mieszczańska rama oleodruku Styki.

Więc wyskoczyli z obrazu, jak Bartosz, gdy runął w bitwę,
uciekły panom malarzom białe sukmany spod pędzla,
i tylko jak kurzawa, za nimi — popiół modlitwy,
ślady przepadły w stuleciu, już nikt ich nie dopędza.

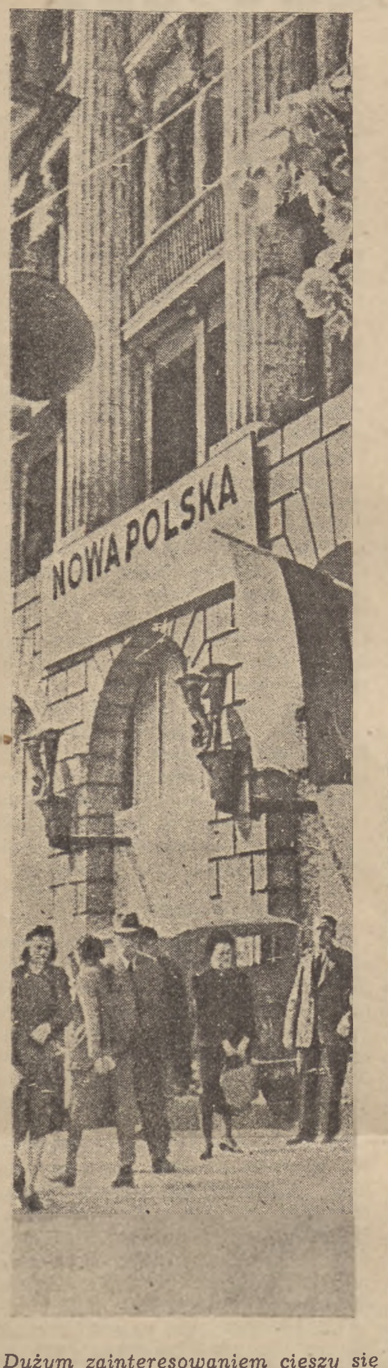
A jednak ilekroć hejnał rozsypie skrzydła gołębiom
i słońce doświtowe dotknie marmuru pomników,
wiatr z tamtych pól i czasów zbutwiałych druków dosięgnie
i wyrwie żywą stronicę z umarłych podręczników.

Co robią Niemcy

Histeryczka i hitlerowcy na „Jacobowskym“ — Ani śladu winy nie widzą — Wystawa książki, poronienia i zagraniczne papierosy.

ROK temu na scenach berlińskich, później zaś na scenach całych Niemiec pokazywano sztukę Friedricha Wolfa „Profesor Mamlock“. Biedny żydowski profesor ze zmierzwionymi włosami i z zawieszoną na szyi gwiazdą syjońską oskarżał ze sceny naród niemiecki o zbrodnię na ludzkości. Sztuka przyjmowana była bez większego entuzjazmu, wstrząsnęła kilku tylko recenzentów, nie wywołując zresztą żadnej specjalnej dyskusji w prasie. Miesiąc temu w berlińskim Hebbel-Theater dano napisaną w roku 1945 na emigracji Franza Werfla „Jacobowsky i pułkownik“, sztukę przetłumaczoną już także na język polski i wydrukowaną w „Przekroju“. Tym razem publiczność niemiecka ujrzała na scenie Żyda-tułacza, uciekającego przed Niemcami z polskim pułkownikiem i z Francuzką Marianną. Jacobowsky w pewnym momencie mówi, że świat o Hitlerze powiada po prostu: „nie obchodzi nas to“, dopóki sam nie odczuje jego pięści. W tej chwili obecna na przedstawieniu publiczność zaczęła bić brawo, rada z tego przerzucania winy na innych. A na drugim przedstawieniu wyrwało się nawet jakiejś kobiecie głośne: „zupełnie słusznie!“, jak podaje Paul Rilla w „Berliner Zeitung“. To dało też powód recenzentowi wydawanego z francuskiej licencji „Der Kurier“ do pochwalenia Jacobowsky'ego i przeciwstawienia go „ciężkiej“ postaci profesora Mamlocka. Stało się zatem przedstawienie Werfla powodem manifestacji politycznych, bezczelnego oklaskiwania momentów sztuki, w których źle mówiono o przeciwnikach Hitlera w świecie, ośmieszano ich poniekąd. Ta Werflowa „komedia tragedii“ napisana została bez możliwości przewidzenia, jak wyglądać będzie stosunek Niemców do zwycięskiego świata w dwa lata po wojnie.

TRZEBA przyznać, że część prasy berlińskiej odważnie podkreśliła niewłaściwość wyboru sztuki Werfla, brak dojrzałości i warunków psychicznych w społeczeństwie niemieckim dla jej spokojnego i rzeczowego przyjęcia. W „Berliner Zeitung“ zaznaczono słusznie, że publiczność przyjmuje sztukę tę jak operetkę; nie dostrzegła w sztuce emigranta-skargi. Najmocniej występuje przeciwko przedstawieniu Wolfgang Harich w „Tägliche Rundschau“, który w recenzji zatytułowanej „Powód przykrych nieporozumień“ pisze dosłownie: „Reakcje publiczności podczas premiery w Hebbel-Theater dowodzą dostatecznie, że wystawienie „Jacobowsky'ego“ przez Niemców było grubym wykroczeniem przeciwko poczuciu taktu i dobrego smaku, stało się narkotykiem dla złych sumień, uspakajającą tabletką dla nazistów... Niemcy nie mają prawa dowcipkować na temat ataków kawalerii polskiej z 1939 przeciw niemieckim czołgom, nie mają prawa karmić swych uogólniających antypolskich wyobrażeń losami jednostki, która jest zresztą niewątpliwie jednostką odrażającą. Harich przyznaje, że już tylko dzięki reżyserowi, który nakazał zagrać rolę Żyda inaczej niż to nakreślił Werfel, nie doszło do wystąpień antyżydowskich. Poza tymi dwoma pismami odważnie przeciwstawiły się manifestacji publiczności następujące jeszcze pisma: „Neue Zeit“, „Der Abend“, „Vorwärts“ („Jest błędem, a w każdym razie za wcześnie na to, by publiczność niemiecka oglądać mogła takie sztuki...“) oraz poczdamska „Tages Post“. Reszta gazet berlińskich przeszła nad tymi bądź co bądź niecodziennymi manifestacjami do porządku lub, jak to widzieliśmy na przykładzie „Kuriera“, pochwaliła je.



Dużym zainteresowaniem cieszy się w Berlinie wystawa „Nowa Polska“, przedstawiająca dorobek i osiągnięcia Polski na przestrzeni dwu powojennych lat.

POCZUCIE własnej winy rodzi się ciężko i powoli. Właściwie minął już okres, w którym można je było narzucić Niemcom. Dzisiejsza ich postawa psychiczna, coraz większa samodzielność w wielu dziedzinach życia publicznego, nie sprzyjają pielęgnowaniu własnej winy a raczej dodają odwagi do obkładania winą innych. Z okazji rocznicy 10 maja, który jest dniem hańby niemieckiej, gdyż w tym dniu w roku 1933 zapłonęły na terenie Niemiec stosy z wyklętymi przez narodowy socjalizm książkami — poświęcono trochę uwagi książce i urządzono kilkadziesiąt wystaw książek. W Berlinie z okazji wystawy w ratuszu Charlottenburg wydano katalog, gdzie na 176 stronach zanotowano tytuły wszystkich książek wydanych od 1945. W tej różnorodnej i obfitej produkcji, książek stawiających mocno problem winy narodu niemieckiego, jest parę procent zaledwie. W dziełach typu naukowego metoda ta doprowadzona jest do szczytów finezji.

KATALOG berlińskiej wystawy jest cenny także i z innych względów. Świadczy on o tym, jak źle odbija się na procesie wychowania narodu poprzez książkę brak jednolitego dla całych Niemiec planu wydawniczego, a nawet brak koordynacji na terenie połączonych ostatnio stref: angielskiej i amerykańskiej. Na skutek tego w 54 stronach liczącym dziele literatury pięknej spotykamy niektóre tytuły powtórzone kilka razy. Georga Büchnera „Śmierć Dantona“ wyszła w 3 strefach, podczas gdy mogła wyjść w jednej w większym nakładzie. R ó w n o c z e ś n i e w Stuttgarcie i Heidelbergu zaczęto wydawać zbiorowe dzieła Büchnera. Chamisa „Peter Schlehmil“ wyszedł w Monachium, Stuttgarcie i Hamburgu, Dickensa „Opowieść wigilijną“ wydały cztery wydawnictwa, Eichendorffa „Nicponia“ także cztery, Goethego „Fausta“ 7 wydawnictw, Heinego „Księgę pieśni“ 12 wydawnictw, „Mackbeth“ Szekspira wyszedł czterokrotnie i to w ciągu jednego miesiąca, 9 razy wydano w ciągu roku 1946 w różnych punktach Niemiec Storma opowiadanie „Pole Poppenspäler“. Jest rzeczą niewątpliwą, że w interesie Europy musi zostać stworzona jakaś rada koordynacyjna dla niemieckiej pracy wydawniczej, plan, który by wynikał z zasadniczych i znanych ogólnie postulatów wychowawczych. Trzeba, żeby zaczęto w Niemczech wydawać literaturę obcą, w odważny i rzeczowy sposób poruszającą sprawę winy niemieckiej, ukazującą zbrodnię w jej realnej historycznej postaci. Rada koordynacyjna bynajmniej nie będzie ograniczeniem wzmożonego rytmu niemieckiego ruchu wydawniczego. W naszym także interesie leży, by był on uporządkowany, ale musi on być regulowany rozumem, kierującym się według potrzeb i postulatów Europy na odcinku wychowania i prawdziwego odnowienia narodu niemieckiego.

DO książek wychodzących w Niemczech, a które przynoszą pewne cenne materiały dla nas Polaków, przede wszystkim należą wykazy magistrackie i powiatowe odnoszące się do ruchu populacyjnego. W jednym z ostatnich numerów w przeglądzie prasy niemieckiej podaliśmy dane co do stanu i wzrostu chorób wenerycznych w Niemczech. Inne statystyki odnoszące się do Berlina wykazują, że w ciągu maja na 6621 urodzeń było 30,5 proc. poronień, z czego 23 proc. przypada na kobiety pracujące. W Norymberdze poronień było 19 procent. Równocześnie w Norymberdze urodziło się 23 procent dzieci nieślubnych. Rekord rodzących się dzieci nieślubnych w pierwszych miesiącach bież. roku uzyskał Bad Kisslingen, gdzie było ich 55 procent. „Sächsische Tageblatt“ w Dreźnie pisze z tej okazji: „Parę zagranicznych papierosów lub parę flaszek alkoholu w połączeniu z lekkomyślnością wielu młodych dziewcząt i kobiet stanowiło często powód tej ponurej statystyki.“

WISZ.

JAN E. KUCHARSKI

Dziewczęta

BIAŁY lekarski kitel, jaki dostałem idąc na oddział, okazał się za duży. Doktór S. jest mężczyzną potężnego wzrostu. — Jak pan zawinie rękawy, będzie zupełnie dobrze — powiedziała z uśmiechem siostra Flora. Szliśmy długim korytarzem. Tego ranka pełne słońce wypłynęło wreszcie na lesisty szczyt Kubalonki i w jasnym jego blasku długa, nie kończąca się taśma pomarańczowego chodnika pokrajana była cieniami ram okiennych. Przypominało to „klasy“ jakie dzieci rysują na podwórku, aby przerzucać przez nie, na jednej nodze — płaski kamień. Uważałem aby nie stanąć na linii — bo to, jak wiadomo, oznacza „spalony“.

— Wszystkie dzieci są teraz na śniadaniu, tylko „rezedka“ już zjadła. Będziemy najpierw u nich.

Jeszcze raz zeszliśmy schodami na niższy poziom, ciągle na taśmie pomarańczowego chodnika. Już kilka razy chciałem prosić o wyjaśnienie dziwnej nazwy. Wiedziałem wprawdzie, że chodzi tu o oddział zamknięty, a więc dzieci, których izolacja wymagana jest ze względu na dobro innych, mniej chorych, ale pytanie nie chciało mi jakoś przejść przez usta, a siostra Flora traktowała mnie widocznie jak wtajemniczonego. Szedłem więc ze swoją niepełną świadomością, ciekawy i zaniepokojony, w śnieżnej „godowej“ szacie miasteczka białych łóżeczek.

Może właśnie dlatego wszystko stało się nagle proste i zrozumiałe, jak w dziecinnej bajce, gdy niania zamyka książkę, a dalsze losy sierotki Marysi jawią się pod zasypiającymi powiekami.

Na środku jasnego pokoju zieleniły się, ustawione na stojakach, pęki delikatnego kwiecia. Lekki zapach wypełniał powietrze. Tak pachnie rezeda. To był ich kwiat — tych dziewczątek i chłopców od 10 do 18 lat, zgrupowanych z obu stron mojego fotela. Czy można było subtelniej zaznaczyć granicę zdrowia i choroby, jak kładąc na niej kwiat?

Opowiadałem o rzeczach pięknych i dobrych i wiem, że nigdzie nie znalazłbym pilniejszych i wrażliwszych słuchaczy. Przez delikatne twarze dziewcząt przepływały zmienne fale uczuć, chłopcy marszczyli brwi i starali się wszystko zrozumieć. Jest ich razem na „rezedce“ czterdzieściczworo. Leczą się i chcą być zdrowymi — a przecież wola i wiedza lekarska może bardzo wiele.

Kiedy z siostrą Florą wyszliśmy na taras, duża chmura płynąca nad nami zakryła na chwilę słońce. Szeroki widok Beskidów, oświetlony jak scena ukrytym reflektorem, pysznił się przed nami ciemną zielenią świerkowych lasów, pastelowymi barwami łąk, matowym srebrem pól. Gdzieś daleko, w oparach wczorajszego deszczu majaczyły wysokie góry.

Wojewódzki Zakład Leczniczo-Wychowawczy w Istebnej leży na południowym stoku góry Kubalonki, niedaleko dawnego zameczku prezydenta. 750 metrów nad poziom morza i morze lasów dokoła — to daje pewność, że dymy hut i kopalń Śląska nie dotrą już tutaj. A przecież przed nimi schroniło się tu blisko 400 dzieci, w tym 70 proc. z województwa śląsko-dąbrowskiego. Młode płuca, zmęczone oparami huty cynkowej Szopienic, wyziewami wysokich pieców Chorzowa czy Dąbrowy Górniczej tu właśnie znalazły odpoczynek i hartują się, nie dopuszczając do siebie choroby. Bowiem zaledwie ⅓ dzieci w Zakładzie jest naprawdę chora, — reszta o powiększonych gruczołach najwyżej jakichś małych naciekach. One właśnie nadają ton Zakładowi, ta gromada od 3 — 18 lat, z dnia na dzień powracająca do formy, wesoła i gwarna sprawia, że trudno jest uwierzyć w chorobę, która się wśród nich czaiła. I trzeba jeszcze wiele metrów pomarańczowego chodnika przemierzyć i znaleźć się na oddziale kostnym, aby zrozumieć z jak zdradliwym wrogiem toczy się tu walka.

Długim szeregiem stoją białe łóżka — jest ich tu przeszło 70, wszystkie na kółkach. Rozumiem — tych chorych się wozi. Kręgosłup, stopy, stawy skokowe czy biodrowe, to są miejsca na które poszedł atak. Ale walka trwa — nikt tu nie rezygnuje. Dwa razy dziennie karawana białych łóżek wyjeżdża na werandy i górskie słońce, najlepszy lekarz, prowadzi swoje dzieło. Mądry człowiek pomaga mu jak może, toteż nic dziwnego, że co pewien czas, przy tym lub tamtym łóżku kółka stają się zbyteczne, bo pacjent zaczyna sam chodzić. Na oddziale kostnym panuje zawsze dobry humor — wola zdrowia jest tu silna, a chociaż kuracja trwa długo, z reguły kończy się pomyślnie.

* * *

ZAKŁAD w Istebnej słusznie uchodzić może za dumę Śląska. Obszar jego obejmuje 15 hektarów na południowym zboczu Kubalonki. Kompleks budynków sanatoryjnych, położony jest w trzech poziomach, mając przez to maksimum dostępu słońca i powietrza. Obok znajduje się pawilon dla personelu i willa dyrekcji, w odległości 400 metrów niewielki pawilon dla chorób zakaźnych.

JÓZEF LIGĘZA

Inkorporacja Zagłębia

Inkorporacja Zagłębia w Województwo Śląskie podyktowana była różnorodnymi względami. Chodziło o scalenie dwóch sąsiadujących z sobą obszarów górniczo-hutniczych, dotąd administracyjnie rozdzielonych i wchodzących w skład dwóch oddzielnych województw. Inkorporacja ta, dokonana dnia 24. 2. 1945 r., likwidując ten stan rzeczy, tworzy nowe warunki nie obojętne dla żadnej z dziedzin życia. Pozostawiając innym fachowcom wszechstronne rozważenie tego faktu, pragnę dać na razie garść uwag na temat: inkorporacja Zagłębia Dąbrowskiego a zagadnienia kulturalne na Śląsku.

W przeciwieństwie do uderzającej analogii w strukturze geologicznej i morfologicznej, w przeciwieństwie do podobieństw krajobrazu przemysłowego, oba Zagłębia różniczkują mieszkańcy, indywidualizuje kulturalnie człowiek o własnej odmiennej strukturze psychicznej.

Do szkół średnich na terenie zwłaszcza Mysłowic, obok rodowitych Ślązaków uczęszczała spora liczba uczniów rodem z Zagłębia i Małopolski. Otóż, jak opowiadają profesorowie, rozpoznanie skąd kto pochodzi było łatwe, tak jasno i wyraźnie odcinały się regionalne, że tak rzec wolno, sylwetki psychiczne uczniów. Nie inaczej ma się rzecz z dorosłymi.

Cóż można jednak powiedzieć o strukturze psychicznej człowieka Zagłębia. Oto w porównaniu ze strukturą typu psychicznego śląskiego uchwytne są najłatwiej różnice w temperamencie, rozumianym jako miara czasowa przeżyć psychicznych, i w wyobraźni. Oczywiście nie określa to nawet z grubsza typu tej struktury, jeno orientuje, jest to przecież próba charakterystyki, którą rozwinie ktoś szerzej, bo rzecz warta zachodu. Warta podwójnie, raz dla samych obiektywnych celów poznawczych, a dwa — dla celów społecznych. Mówiąc bowiem szczerze, jak między obu Zagłębiami leżała ongiś granica administracyjna, tak między ich mieszkańcami istniał spory zbiór obustronnych uprzedzeń. Uprzedzenia te, w większości pochodzą z tych czasów, gdy dzieliła oba Zagłębia granica polityczna, a choć ona zniknęła, uprzedzenia pokutują jako pożywka dla złych tradycji.

Czasy ostatnie tj. okupacja niemiecka i ciężka dola elementu polskiego zarówno tu jak i tam, również nie przyniosła kresu tym uprzedzeniom. Ba, wydaje się, choć rzecz tę należy gruntownie zbadać, że okupantowi niemieckiemu chodziło o pogłębienie uprzedzeń między ludnością polską obu Zagłębi i za narzędzie do osiągnięcia tego używał tych wszystkich mówiących po polsku, którzy mu tylko służyć chcieli, specjalnie zaś jeszcze o zniemczonych nazwiskach polskich. Że byli wśród nich pochodzący ze Śląska to pewnie, ale nie może to być przyczyną przypisywania Ślązakom przebywającym na terenie Zagłębia, a co gorsze ogółowi Ślązaków, pro-niemieckiego służalstwa. Było by to bowiem utożsamianiem polskiej ludności Śląska z niemiecką ludnością napływową i z tymi, którzy się wyrodzili i wsiąkli w jej grono. Było by to dalej posługiwaniem się metodą odpowiedzialności zbiorowej, było by to wreszcie pójściem na rękę interesom niemieckim, które leżą w skłóceniu wewnętrznym naszego społeczeństwa, w odizolowaniu groblami, wzniesionymi z uprzedzeń, niechęci czy powszechnie znanych urazów ludności pogranicza, a zwłaszcza Śląska od reszty narodu.

Mamy bowiem konkretne dowody akcji polskiej, zbiorowego przemycania ludzi o polskim nastawieniu, tępionych na terenie Śląska, do pracy w Zagłębiu i wiemy dowodnie, iż dokładali wszelkich starań, aby ludności polskiej przyjść z pomocą. Wiemy również, że administracja niemiecka posługiwała się ludźmi, władającymi językiem polskim, lecz pochodzącymi z terenów Rzeszy i tamże do tych zadań szkolonymi.

Sądzimy, iż inkorporacja Zagłębia Dąbrowskiego w Województwo Śląskie stwarza realne podstawy i otwiera nowe możliwości do zlikwidowania tego niepożądanego stanu rzeczy. W tym widzimy główny walor faktu wcielenia Zagłębia w dziedzinę kultury. Możliwości tych istnieje niezmiernie wiele. Nowy stan rzeczy przyniesie za sobą wydatne zwiększenie styczności społecznych tak między pojedyńczymi mieszkańcami, jak i całymi grupami. Górnicy czy pracownicy przemysłu metalowego będą społem radzić nad swymi sprawami, tak samo, jak kupcy, lekarze czy nauczyciele. We władzach wojewódzkich stowarzyszeń społecznych zasiądą ludzie stąd i stamtąd, by myśleć i działać wspólnie dla dobra całości. Że te momenty będą miały wielkie znaczenie dla obustronnego poznania się, dodawać nie trzeba, a przecież właśnie to najskuteczniej oczyszcza atmosferę współżycia od niezdrowych społecznych uprzedzeń.

Tak więc oba Zagłębia prezentują pewien określony typ człowieka nie tylko o ujemnych, ale przede wszystkim dodatnich cechach, wyrosłych na odmiennym, ale etnicznie polskim podłożu. Byłoby oczywistym nonsensem, a nawet grzechem wobec kultury narodowej propagować dążności do stopniowego ujednostajniania, czy zgoła likwidowania tych indywidualności w skali grupowej. Nie uważamy nawet najdoskonalszej jednolicowości za doskonałość, bo jakżesz często równoznaczna ona jest z szarą przeciętnością. Chcemy by byli sobą, bo wówczas istnieje realna możliwość, iż dadzą z siebie maksimum tego, na co ich stać. To raz. A dalej, prezentując różne typy psychiczne i różne style życia, działaniem swoim stwarzają wyjątkowo urozmaicone warunki dla wymiany i kulturalnych obustronnych wpływów, jak również atmosferę o dużej skali różnorodnych oddziaływań na młode pokolenie. I to jest drugi moment, który z punktu widzenia kultury podkreślić należy.

Przechodząc od człowieka do samej kultury nie można pominąć milczeniem faktu różnic kulturalnych, istniejących między obu Zagłębiami. Śląsk w swojej masie elementu polskiego żyje kulturą ludową czystą, bądź, co ma miejsce w ośrodkach miejskich kulturą z nawarstwieniami pochodnymi z ognisk etnicznie pokrewnych i obcych. Kultura ta jest swoistą mieszaniną treści, spotykaną jedynie na terenach pogranicznych większych grup kulturalnych. Natomiast Zagłębie przedstawia w swym kulturalnym stanie posiadania wyraźną jednolitość między rdzennie polskim, ludowym zrębem, a późniejszymi nawarstwieniami.

Różnice te nie są więc, z uwagi na pokrewieństwo podstaw kultur obu obszarów przeciwstawnościami, nie ma bowiem między nimi zdecydowanej linii podziału idącej od podstaw do szczytu, a raczej z uwagi na polskość są różnicami ilościowymi i nie tylko nie gmatwają danych kulturalnego rozwoju, ale są dlań momentem korzystnym.

Habitus kulturalny Zagłębia powiększa wydatnie możliwości wyposażenia grupy śląskiej w dorobek historycznej kultury polskiej. Zagłębianie zaś w stycznościach kulturalnych ze Ślązakami zyskują ową cenną kulturalnie wartość, jaką daje bezpośrednie otarcie się czy zanurzenie w źródle z pradawnymi wartościami dorobku etnicznego.

Życzyć by sobie również należało, by przeszczepili Zagłębianie na teren Śląska tradycyjną u nich tendencję do poważnie pojętego samokształcenia, zamiłowania do szukania pięknego wyrazu dla myśli — i odwrotnie, by znów Ślązacy wdrażali ludzi z Zagłębia w umiejętność realnego kontrolowania możliwości własnych i własnych tworów duchowych, oddzielania ziarna od plew słownych.

Reasumując: inkorporacja Zagłębia w Województwo Śląskie stwarza w dziedzinie kultury nowe, a dla rozwoju kultury polskiej pomyślne możliwości. Dotyczą one zarówno kultury, rozumianej jako uprawa gleby psychicznej człowieka, jak i kultury, jako obiektywnego społecznie zjawiska. Zwłaszcza twórczość, obojętnie w jakiej dziedzinie kultury ma ona miejsce, jest jednym z najdobitniejszych takich wskaźników. Twórczość bowiem jest wykwitem sumy czynów kulturalnych nie tylko jednostek, ale całych zbiorowości. Dlatego też, jeśli nasze przypuszczenia były słuszne, winien zaznaczyć się przyrost — jeszcze za naszego życia — na skali i rozpiętości twórczości Śląska w nowych granicach terytorialnych. Mało tego, istnieją ludzie o nieprzeciętnej mocy twórczej, może nawet genialnej.

Pod takimi auspicjami witając ludzi z Zagłębia, widzimy w fakcie inkorporacji zjawisko nie tylko administracyjne czy gospodarcze, ale i zdarzenie o doniosłym znaczeniu dla rozwoju kultury polskiej w kręgu przemysłowym naszych ziem zachodnich.

Fakt, który się dokonuje w przededniu naszego powrotu na resztę terytorium etnicznego Ślęzan, na którym to terytorium Wielkiego Śląska chcemy społem z nimi pracować, dla dobra sprawy najcenniejszej spośród wszystkich, dla dobra kultury polskiej.

Józef Ligęza

AGATA KAJZEREK

Meldunek drugi

„Dla celów polityki kulturalnej trzeba tak samo studiować fakty artystyczne i realne możliwości rozwojowe danej sytuacji (artystycznej), jak dla celów polityki ekonomicznej studiuje się fakty gospodarcze i możliwości rozwojowe przemysłu“ — pisał Stefan Żółkiewski, rozpoczynając w „Kuźnicy“ gromadzenie materiałów do jesiennego, ogólnopolskiego Kongresu Kultury. „Sądzę właśnie, że skuteczne przeobrażenia treści kultury, jej rewolucjonizowanie, tworzenie jej ideowego nowego kierunku, dokonywuje się w rzeczywistości poprzez celowe, kierunkowe zmiany sytuacji kulturalnych...“

Wojewódzka Rada Kultury organizując Śląski Tydzień Kultury — liczyła się z dwojakim co najmniej zyskiem, mianowicie: 1) sumą faktów artystycznych, realizacji doraźnych, oraz 2) materiałem obserwacyjnym o charakterze socjologicznym przede wszystkim.

Stworzenie sytuacji kulturalnych, by użyć terminu proponowanego przez Żółkiewskiego, ma swą wartość bezwzględną; suma przedstawień, odczytów, wycieczek, muzeów, koncertów, dni „czynu kulturalnego“, jest naprawdę poważna — jednocześnie zaś ze sprawozdań odczytać można wiele prawd i wskazań.

ORGANIZACJA

Czytamy w jednym sprawozdaniu:

„O godz. 19 wieczór świetlicowy w wykonaniu zespołu „Czytelnika“ z Katowic w G. D. L.

Za całość odpowiedzialni są: ob. Grzegorczykówna i ob. Koj W.

Czwartek ... o godz. 15 zbiórka uczestników zgłoszonych na zwiedzenie muzeum w Bytomiu. Wyjazd do Bytomia o godz. 15.45. Samochody dostarczą: Kopalnia ..... 2, Spółdzielnia Powszechna 2, firma ... 1.“

Tak oto w terenie realizowano solidnie i gorliwie za pomocą komitetów miejscowych ramową instrukcję WRK, której objętość nie przekraczała strony maszynopisu. A oto mamy w ręku książeczkę ze szczegółowym programem Tygodnia w Gliwicach — koncert Filharmonii, otwarcie wystawy Zw. Zaw. Artystów Plastyków, akademie, czytamy opis dziejów Muzeum Miejskiego, archiwum, biblioteki, szkół artystycznych i organizacji, przeglądamy liczne afisze z Opola, które naprawdę nasycone było szeregiem imprez i to rzędu wysokiego.

WRK *apel* swój skierowała do powiatowych referatów Kultury i Sztuki, te zaś kierowały *polecenia* do referentów miejskich i gminnych. Tam referenci zwoływali Komitety Miejscowe, byli ich sekretarzami, *zapraszając* organizacje, świetlice, związki i organizacje młodzieżowe, związki zawodowe artystyczne. Te Komitety posłużyły się przede wszystkim „ludźmi dobrej woli“, przeważnie ze szkolnictwa, zespołami świetlicowymi, poważny wkład dały organizacje młodzieżowe. Instytucje, a więc teatry, orkiestra filharmoniczna — dały właściwie mało: co najwyżej dostępniejsze ceny. Muzycy i plastycy włączyli się żywo do akcji, literaci przyszli z wieczorami autorskimi.

Okazało się wbrew przypuszczeniom, że *największą sumę wysiłku dał teren*, największy wkład — amatorzy. Najsolenniej święciła Tydzień — wieś, organizując imprezy własnymi siłami.

Z posunięć organizacyjnych warto jeszcze wspomnieć, że muzea były otwarte bezpłatnie i miały zorganizowany zespół przewodników, że świetlice zamknięte (przy instytucjach i zakładach pracy) były w Tygodniu dostępne dla publiczności, oraz, że Wojewódzka Rada Narodowa poleciła Miejskim i Powiatowym Radom Narodowym poświęcić jedno posiedzenie sprawom kultury.

Tak skromny wymiar miała maszyna organizacyjna, szybko postawiona, bezpłatna czyli niekosztowna, ogarniająca przestrzeń całego województwa. Komitety miejscowe operowały minimalnymi kwotami, gromadzonymi przypadkowo.

REZULTATY

Cyfrowe ujęcie — ilości przedstawień, frekwencji publiczności — nie da obrazu wystarczająco jasnego.

Przykładowo cytujemy program w jednej z gmin w Zagłębiu Dąbrowskim: ... nabożeństwo ... akademia... występ chórów szkolnych... popisy sportowe.

Dnia 16. 6. oczyszczanie ulic z odpadków,
17. 6. lustracja podwórek gospodarskich,
19. 6. odczyt na temat: „Sprawozdanie z dorobku kulturalnego naszego środowiska za czas od uzyskania niepodległości do obecnej chwili.“

Wybieramy dowolnie: w Bielszowicach odbyło się zebranie konstytuujące TUR, w Prudniku zjazd orkiestr, w Będzinie zainicjowano starania o konserwację ruin zamku.

Pierwszym więc dorobkiem, zdobyczą — była *próba sił*, ocena możliwości, orientacja, co można zrobić, kogo trzeba sprowadzać. Rachunek taki ma wartość trwałą.

Z racji przeprowadzanych akcji, notatek w prasie, organizowania komitetów — *wzrósł szacunek dla spraw kultury, wzrósł autorytet ludzi zajmujących się sprawami życia artystycznego*. Pewne spotkania — między organizacjami i ludźmi, pomysły, potworzone instytucje (periodycznych wystaw, zjazdów) działać będą trwale.

WNIOSKI

Tydzień miał silną konkurencję: Dni Morza, Święto Oświaty, Dzień Lasu, rocznice historyczne, święta państwowe. Wyszedł z niej z ogromnym sukcesem. Polacy wprawdzie lubią paradę i solenność, ale można mówić o pewnym zmęczeniu mniej lub więcej obowiązującymi moralnie uroczystościami. Mimo to udział publiczności był duży, ochota do współpracy i organizowania niezwykle duża. Sytuację trzeba zrozumieć w ten sposób: *program ramowy WRK był sygnałem dla działalności, którą musimy nazwać naturalną, spontaniczną i żywą*. Okazało się, że społeczność śląska jest gotowa przyjąć każdą inicjatywę kulturalną, podjąć działalność, poważnie ustosunkować się do spraw życia artystycznego.

MITY

Mity mogą się realizować. Zakładano, że życie kulturalne dokona doniosłego procesu łączenia w całość mozaiki narodowościowej Śląska. Szereg rysów imprez Tygodnia potwierdza to założenie. Akademia-manifestacja na rynku Opola, ruchliwość tego spalonego miasta w ciągu eksponowanych 7 dni jest symptomem bardzo charakterystycznym.

Zjazd w Opolu ukazał nam prawdziwe oblicze Opolszczyzny, duszę tego „kraju krzywdy“, jej biało-czerwony kolor — pierwszy raz w demonstracji publicznej. Rzadko bardzo apeluje się w akcjach masowych do sfery emocjonalnej społeczeństwa — może właśnie zbyt rzadko.

Postać Lompy, pod którego auspicjami rósł cały Tydzień, na glebie, którą on właśnie zaczął uprawiać jako pierwszy — może być rzeczywiście symbolem roboty ważnej, powszechnej, ponad partyjnej, ponad organizacyjnej.

Okazało się, że bardzo łatwo realizować mit powszechności akcji kulturalnych — i to na wsi, po małych miasteczkach. *Setki imprez odbytych, tysiące godzin pracy organizacyjnej, masy uczestników — nie mogą być tłumaczone snobizmem.* Wykonane czynności nie czekały na nagrodę, bo jej nikt nie dawał, nie czekały pochwały zwierzchników, bo takich nie było. W tych akademiach, festiwalach, „dniach czynu“, rachunkach („co nasza gmina zrobiła dla kultury przez dwa lata“) — była zaiste i dostojna troska, dbałość o osiągnięcia idealne. Tym cenniejsza, że *spontanicznie, naturalnie i poważnie — sprowadzało całe społeczeństwo, we wszystkich zakątkach województwa — sprawy kultury z rusztowania luksusowej nadbudowy życia do organicznej funkcji tegoż życia*. Życia wcale nie łatwego ani lekkiego.

Agata Kajzerek.

Korespondencja

W sprawie akcji „N“

W „Głosie Ludu“ ukazał się felieton ZEZ'a przeciw „Odrze“. W związku z tym otrzymaliśmy następujący list do redakcji.

Szanowny Obywatelu Redaktorze!

W Nr 181 „Głosu Ludu“ z dnia 4 lipca rb. w „Na marginesie“, ob. ZEZ kosym okiem spojrzał na „Odrę“ i na akcję „N“ w okupacji. Na „Odrę“ dlatego, że zamieściła artykuł o działalności „N“, a na „N“ dlatego, że szefem tej komórki był Tadeusz Żenczykowski. Ob. ZEZ idzie dalej, zarzucając „Odrze“ uprawianie reakcyjnej kontrabandy „oraz propagandę osoby T. Żenczykowskiego“. Przy okazji ZEZ kwalifikuje akcję „N“ jako „mocno nieudolną i pozbawioną konkretnych rezultatów“.

Chciałbym do tych sformułowań ob. ZEZ-a dodać parę uwag, gdyż wymaga tego nie tylko tzw. prawda historyczna ale i powaga pisma, jakim jest „Głos Ludu“. Nerwowa notatka ob. ZEZ-a oddaje złą przysługę nie tylko „Odrze“ w jej systematycznej akcji demaskowania „dobrych Niemców“ i „zasług“ niemieckich w walce z Hitlerem — a to było przecież powodem zamieszczenia artykułu o „N“ w „Odrze“, a czego każdy czytelnik łatwo się domyśla, jeśli czyta „Odrę“ sam, a nie za pośrednictwem innych.

Zaznaczam, że nie jestem w składzie redakcyjnym „Odry“, ani nikt z członków tego wydawnictwa nie jest mym znajomym. Zabieram głos w tych sprawach jako czytelnik i obywatel Polski Ludowej oraz żołnierz konspiracyjny, który z akcją „N“ stykał się i ma o niej obiektywny sąd, nie zaciemniony i nie sfałszowany ZEZ-em.

Wystąpienie ZEZ-a z atakiem na „Odrę“, za to, że demaskuje narastającą w Rzeszy i na całym Zachodzie legendę o niemieckim ruchu oporu — jest i niesłuszne politycznie i przeczy dobrym obyczajom publicystycznym. Czy zwalczając „N“ nie działa ob. ZEZ obiektywnie na rzecz tezy proniemieckiej? Przecież gdy będziemy dyskredytować „N“ w Polsce, (nie zapominajmy, że identyczną akcję przeprowadzały u siebie tak wojska radzieckie jak armie USA, Anglii i Francji) — to wykażemy samym Niemcom i światu, że jednakże istniał jakowyś niemiecki ruch oporu, o co właśnie chodzi niemieckiej propagandzie a co jest, historycznie rzecz biorąc, nonsensem i fałszem.

Ale zostawmy obronę „Odry“ jej redaktorom. Przejdźmy natomiast do innej kwestii, do nieudolnej i pozbawionej konkretnych rezultatów akcji „N“. Jest to znowu fałsz historyczny. Gdyby ob. ZEZ zajmował się w czasie okupacji obserwacją nastrojów w armii niemieckiej, wiedziałby dobrze, jak akcja „N“ demoralizująco wpływała na morale Wehrmachtu. Chyba oficjalne rozkazy OKW, nakazujące czujność i kontrakcję, mówią same za siebie. Czy ob. ZEZ-owi znany jest fakt, że dla oddziałów armii niemieckiej na Wschodzie, gdzie akcja „N“ działała przez 4 lata systematycznie — powołano specjalne oddziały do walki z „N“ tzw. „Propagandatruppen“ pod szefostwem gen. mjr. von Wedel. A czy publiczne polemizowanie i piętnowanie roboty „N“ przez naczelny organ OKW „Die Wehrmacht“ oraz przez instrukcje OKW p. t. „Mitteilungen feur die Truppen...“ nie mówi samo za siebie o rezultatach akcji „N“? A ponadto raporty wywiadów amerykańskiego, angielskiego, francuskiego i radzieckiego, które nadchodzi-

z rezedą

CIEKAWĄ jest statystyka dzieci w Zakładzie. 45% to dzieci rodzin urzędniczych, 40% dają rodziny robotnicze, reszta — wolne zawody. Największą grupę, bo aż 73% stanowią dzieci od 5 — 15 lat, około 20% od 15 — 18 lat. Pobyt w sanatorium trwa najmniej 2 miesiące w wypadkach najlżejszych. Teoretycznie, kuracja trwa aż do skutku, to jest wyzdrowienia pacjenta, jednak w praktyce dość często instytucja wysyłająca dzieci odwołuje je przed zakończeniem leczenia, aby na ich miejsce wysłać nowe. ZUS dysponuje tu 200 łóżkami, Nadzwyczajny Komisariat do walki z epidemią — 100, Opieka Społeczna i Czerwony Krzyż — resztą.

* * *

NORMA wyżywienia na jedno dziecko wynosi 3500 — 4000 kalorii. Posiłki pięć razy dziennie. Koszt samej żywności dla jednego dziecka — 200 zł dziennie.

* * *

KOMUNIKACJA i dowóz na szczyt Kubalonki to największy problem dla Zakładu. Na miejscu niczego nie można dostać, nawet mleko sprowadza się codziennie z odległości kilkunastu kilometrów. Pieczywo, jarzyny, mięso przywozi się z odległego o 35 km Cieszyna. Siedem potężnych pieców centralnego ogrzewania pożera rocznie 1800 ton koksu, co stanowi od 3 — 8 ton dziennie, zależnie od pory roku. I na to wszystko jest zaledwie jedna ciężarówka i jedna sanitarka. Chyba za mało!

* * *

NA tablicy raportu dziennego wyczytałem: Stan personelu 207 osób, w tym 4 lekarzy, 24 pielęgniarki, obsł. salowej 36. Odczuwa się brak pielęgniarek (44% dzieci do lat 10!) i lekarzy. Jeśli bowiem odliczyć dyrektora Zakładu, którego głównym zadaniem jest czuwanie nad całością, oraz drugiego lekarza w laboratorium, to na blisko 400 dzieci pozostanie dwóch lekarzy. Są to wprawdzie zacięci wrogowie prątka Kocha i starzy praktycy, ale siły ludzkie są przecież ograniczone. Dla młodego lekarza znalazłby się tam wspaniały teren specjalizacji.

* * *

DZIECI mają na miejscu szkołę. Są to właściwie cztery szkoły dostosowane do potrzeb poszczególnych grup. Jest więc przedszkole, pięknie urządzona szkoła powszechna dla dzieci gruczołowych, osobno „rezedka" i „kostny" uczą się u siebie. Trzeba było nie byle jakich zdolności organizacyjnych, aby ze szczupłym personelem organizacyjnym rozwiązać taki problem. Nauka odbywa się 3—4 dni w tygodniu, przed i po południu. Dzieci uczą się chętnie, zwłaszcza roboty ręczne mają najwięcej zwolenników. Celuje w nich zwłaszcza oddział kostny, często są to już wyroby stojące na pewnym poziomie artystycznym.

* * *

CO pewien czas przyjeżdża „Film Polski". Ostatnio przywiózł ze sobą obraz pt. „Znachor". Niestety staruszek znachor sam dostał widocznie gruźlicy gardła, bowiem tak chrypiał i szeptał, że nikt go nie mógł zrozumieć. Poprzednio były „Zakazane piosenki", też bardzo odpowiedni(!) film dla wrażliwych dzieci w Zakładzie. Filmy rysunkowe, podróżnicze, bajki, jakoś nie mogą jeszcze dotrzeć do Istebnej. Ogromne powodzenie miał tu szkolny teatr kukiełek z Cieszyna, niestety też imprezy nie da się częściej powtarzać, zresztą wakacje w toku. Ostatnio, dzięki kontaktowi nawiązanemu ze Zw. Literatów Polskich w Katowicach, zaczynają przyjeżdżać pisarze z odczytami i pogadankami. Był już wszędobylski Gustaw Morcinek i opowiadał dzieciom o beskidzkich utopcach i zbójnikach, L. Rzepecka opowiadała bajki i czytała historię ostatniej wojny... między Tiutiurlistanem a Blablacją. Dzieciaki bardzo proszą, by przyjechał do nich ten pan, który o tym napisał i przeczytał im więcej takich pięknych bajek. Wierzę, że zjawią się tu i inni, tak wdzięcznych słuchaczy nie znajdą nigdzie, sami zaś wzbogacą się o przeżycie, które musi w nich ślad pozostawić.

AUTO do Katowic miało odjechać o świcie. Wieczorem raz jeszcze znalazłem się na oddziale. Tym razem były tylko same dziewczęta. Rezeda pachniała intensywnie, delikatne cienie kładły się już na otaczających przedmiot. Zapalono światło. Czytałem wiersze Kasprowicza, — kolorowe obrazki z „Mojego Świata", najprostszą, ludzką modlitwą przepojoną „Księgę Ubogich". Pamiętam, że ani jedno słowo nie padało w próżnię. Weszły dwie siostry, usiadły przy drzwiach i natychmiast wtopiły się w atmosferę skupienia. Jak nigdy odczułem wtedy starą prawdę, że nie ma takich drzwi do zrozumienia twórczości poety, nie ma tajemnic miłości i twórczego buntu, których nie otworzyłby klucz cicho znoszonego cierpienia.

Dziewczętom z rezedą posyłam najlepsze pozdrowienia.

Jan E. Kucharski.



TEOFIL OCIEPKA maszynista z elektrowni Janów, l. 56. „Skarbnik" (olej). Mówi o sobie: „Ja maluję świat niewidzialny, bo ja we wszystkim widzę życie..."

Ośrodek kształcenia plastycznego

w Bielsku

W związku z zakończeniem roku szkolnego, szkołę wizytował dyr. Departamentu Plastyki, Bogdan Urbanowicz z komisją Ministerstwa Kultury i Sztuki i członek Głównej Rady Artystycznej z ramienia Z. Z. Pol. Art. Plast. art. rzeźb. Jacek Puget.

Komisja stwierdziła nieprzeciętny poziom **prac uczniów,** wobec czego szkoła została upaństwowiona jako Ośrodek Kształcenia Plastycznego, a od nowego roku szkolnego Ministerstwo Kultury i Sztuki poleciło utworzyć przy Ośrodku Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych z dwowa głównymi przedmiotami: Rzeźby Architektonicznej i Tkactwa.

Dotychczasowego kierownika szkoły M. Rz. i Gr. mgr. Stanisława Oczkę powołano na dyrektora obu szkół.

Upaństwowienie szkoły i otwarcie liceum znalazło szeroki oddźwięk na tym terenie, zaś otwarcie bursy umożliwi i ułatwi naukę uczniom dojeżdżającym z Cieszyńskiego, Żywieckiego, Skoczowa, Tych, Pszczyny itd.



Helena Stec (Wilkowice) z pracowni prof. Jana Dzieślewskiego. Linoryt „Martwa natura".

Wystawa plastyków amatorów

w Katowicach

W ramach I Śląskiego Tygodnia Kultury, Wojewódzka Rada Kultury zorganizowała bardzo ciekawy przegląd prac malarskich i rzeźbiarskich — pierwszy w Polsce po wojnie — plastyków-amatorów.

Celem organizatorów jest przeprowadzenie studiów nad stanem kultury plastycznej na Śląsku, przede wszystkim w środowisku robotniczym. Słusznie — choćby dla tego, że brak tu odpowiednich zrzeszeń, jak w innych dziedzinach n. p. amatorskie związki śpiewacze, kółka teatralne itp.

Na pokaz zgłoszono 825 prac, w tym 204 rysunki i 13 rzeźb. Wystawa dała ciekawy przegląd przez samą rozpiętość, od prymitywów sztuki samorodnej, będących przedłużeniem sztuki ludowej, do prac wykazujących zrozumienie zagadnień czysto malarskich, a u niektórych opanowanie samego rzemiosła. Autorzy reprezentują wszystkie środowiska i zawody, z przewagą pracujących fizycznie, jak robotnicy niewykwalifikowani, górnicy, hutnicy, tkacze, malarze pokojowi, lekarze, urzędnicy, inżynierowie, nauczyciele, a nawet jeden konstruktor okrętowy i zakonnik.

Dodać należy, że każdy z uczestników pokazu wypełnił odpowiedni formularz, przy czym z każdym odbyto rozmowę na temat jego pracy, warunków, zamiłowań, a zebrane informacje stanowią ciekawy materiał do badań.

Akcja W. R. K. spotkała się ze szczerym entuzjazmem niewykształconych plastycznie amatorów jak i wszystkich zwiedzających.

Edward Piwowarski



BRONISŁAW STANIENDA robotnik koksowni, l. 37. „4-ta rampa" (olej). Maluje z zamiłowania od 15 roku życia.



JAN DWORCZYK maszynista kopalni Siemianowice, l. 50, b. górnik. „Górnicy". Zdolny portrecista, o którym mawiają że „w pędzliki igra".

Z teatrów krakowskich

„Wesoła Gromadka" i „Groteska"

W okresie powojennym mamy w Polsce do zanotowania dodatni objaw na terenie działalności teatralnej, mianowicie: powstanie teatrów dla dzieci i młodzieży. Na terenie samego Krakowa istnieją dwa: 1. Teatr lalki i aktora „Groteska" dla najmłodszych widzów teatralnych i 2. Teatr RTPD „Wesoła Gromadka" dla dzieci starszych.

Chyba nie potrzeba rozwodzić się nad udowadnianiem potrzeby istnienia i różnorakich ważności takich teatrów, nad ich znaczenim pedagogicznym i kulturalnym, „czym skorupka za młodu nasiąknie" itd. Najważniejsze, że teatry takie już istnieją, przeszły już okres prób i coraz bardziej stają na pewnych nogach. Napotykają one na większe trudności niż każdy inny teatr, wystarczy, że wskażemy tylko na dwie najcięższe. Nie było odpowiednich do tych teatrów aktorów ani odpowiedniego repertuaru. Wątpię, czy znalazłoby się wśród zawodowych aktorów, ochotników do takiego teatru, tak samo, nie każdemu literatowi „opłaca się" pisać sztuki dla takiego teatru (pomijając, że nie każdy potrafiłby). Jednak ci co z tych lub innych względów zabrali się do tego, dają rzeczy nieprzeciętne. Za przykład niech posłużą ostatnie przedstawienia w tych teatrach krakowskich.

W „Grotesce" idzie *„Kot w butach"*, Tadeusza Kwiatkowskiego, wesoła bzdurka, jak ją nazwał sam autor. Występują w niej lalki i aktorzy. Warto zobaczyć, co ze znanej bajki zrobił Kwiatkowski, jak ją unowocześnił. Z niefrasobliwością prawdziwej, niepodrobionej młodości, Kwiatkowski wplata w nią motyw milionera, okradzionego przez Podbite Oko, Złego Ogórka, Oślą Szczękę, Blade Ucho, Gruby Palec i Zmokłą Kurę. Już same wymienione tu przezwiska świadczą o humorze, jakiego wiele mieści się w tekście. A motyw główny, mały chłopiec przyczynia się do odbudowy spalonego domu rodzinnego, obok pedagogicznej wartości, świetnie utrafia w ambicję i charakter nowoczesnego dziecka.

Niestety, wykonanie, nie wydobyło w całej pełni walorów tekstu. Lalki i dekoracje projektu *Józefy Piątkówny* bardzo dobre i dowcipne. Miałbym zastrzeżenie jedynie co do lalek rodziców Janka, które nie powinny być potraktowane karykaturalnie. Może najlepiej było obsadzić te właśnie role aktorami? Jeśli można jeszcze przymknąć oczy na niedociągnięcia w puszczaniu w ruch lalek, bo na pewno wymaga to długoletniej wprawy, dużego zgrania, to nie można zgodzić się na takie, jak istnieje w tym teatrze, podawanie tekstu. Podobno w „Grotesce" jest straszna akustyka i dlatego połowa tekstu ginie, zaś ta druga połowa, podana jest głosami tak nie mającymi nic wspólnego z lalkami, które reprezentują, że należy podziwiać inteligencję młodocianej widowni, że w ogóle orientuje się o co chodzi. Reżyser *Henryk Ryl* ma tylko jedno wyjście, zaangażować jako wykonawców — dzieci. Naturalnie, że wymagać to będzie większej jego pracy i wysiłków, jednak rezultaty mogą okazać się znakomite, jak to ma miejsce w teatrze „Wesoła Gromadka". Z tego teatru, pozostającego pod kierunkiem *Marii Biliżanki,* może i powinien Kraków być dumny. Czytaliśmy ostatnio szeroko w prasie o eksperymencie, jaki przygotowuje się obecnie w ZSRR, polegającym na napisaniu i przygotowywaniu do wystawienia, siłami młodocianego zespołu, rzekomo pierwszej w historii teatru opery dla dzieci. Tymczasem w Polsce eksperyment ten ostatnio już zrobiono. Ale dlatego, że jest to eksperyment nasz, krajowy, do tego krakowski, to się o nim milczy. Wiadomo „cudze chwalicie". Eksperymentem tym, ze wszech miar udanym, jest „Wesele lalki" z tekstem poetyckim *Bronisławy Ostrowskiej,* z muzyką *Geigera,* w wykonaniu młodocianych aktorów „Wesołej Gromadki".

Drugą część programu tworzy „Biedulka" *Anny Świrszczyńskiej.* Może ona być dla piszących dla dzieci, klasycznym niejako wzorem do naśladowania. Nie znam w tym zakresie nic prostszego, a wrażenia, które wywołuje są wielorakie.

Ale nie tylko świetny repertuar („Niebieski ptak", „Abecadło z pieca spadło", „Robinson Kruzoe"), ale i wykonanie, przez zespół dzieci, wspieranych siłami szkoły dramatycznej, składa się na to, że warto do „Wesołej Gromadki" chodzić i warto ją pokazać całej Polsce i kto wie czy i nie zagranicy.

Władysław Bodnicki



„Kot w butach" w Teatrze Lalki i Aktora „Groteska".

„Igrce w gród walą"

Kraków jest od lat 50 miastem ogromnie teatralnym, jest idealną, prawie nierzeczywistą scenerią dla gry wyobraźni i marzeń Niema — przynajmniej w śródmieściu — zakątka, gdzie pomysłowy inscenizator nie zdołałby stworzyć tła współdziałającego z poetyckim tekstem.

Historia teatru krakowskiego nie była nigdy identyczną z teatrem oficjalnym. Obok Teatru Słowackiego już przed pierwszą wojną światową działał „Zielony Balonik". O awangardowej scenie marzyli po wojnie formaliści, jego doktrynę w pierwszym numerze „Zwrotnicy" określił Leon Chwistek. Później z tych właśnie marzeń — i prawie z niczego więcej — zrodził się „Cricot", który dał nowy typ widowisk. A równocześnie grywano „na świeżym powietrzu", to jest w cieniu starych murów: na Wawelu, w Kolegium Nowodworskiego, w Bibliotece Jagiellońskiej, w Barbakanie. Pomysły reformatorów opierały się o tradycję. „Lajkonik" wskazywał drogę, a w czasach najnowszych te wielkie (czasem olśniewające) widowiska ludowe, które noszą nazwę matchów footbalowych. Bo Kraków jest także stolicą sportu i prawie naprzeciw Uniwersytetu (przegrodzone tylko ulicą Wolską) ciągnie się, zniszczone przez Niemców, dziś odbudowane boisko „Cracovii".

Ludzi twórczych w dziedzinie teatru nie brakło w Krakowie nigdy. Czasem porzucają swe miasto, by działać gdzie indziej. Czasem porzucają teatr wyobraźni twórczej, by zająć się inną dziedziną. Ale wielu powraca „jak do spłakanej matki dziecię smutne". Adam Polewka, entuzjasta teatru, urzeczony przez politykę, zdaje się do teatru powracać. Powraca nam na razie z pięknym widowiskiem, które powstało przed drugą wojną światową. Widowiskiem napisanym na „Dni Krakowa", a dziś znowu z okazji „Dni" wznowionym. Widowisko nosi nazwę „Igrce w gród walą". Sceną jest Barbakan, jako miejsce broniące dostępu do murów starego grodu. Ale brama nie wytrzymuje naporu. Napróżno trębacz gra hejnał alarmowy. Ekspozycja widowiskowa jest tu zarazem zręczna i pełna sensu. Bo istotnie ów teatr średniowieczny to inwazja, najazd, wesołe wdarcie się obcego świata. Nutą przewodnią widowiska jest konflikt dwóch światów wędrownego i osiadłego, cygańskiego i dostojnego. Konflikt ma czasem postać dramatyczną, jak w pieśni „O miłowaniu wielkiem rybałta", czasem komiczny, jak w komedyjkach o żaku co babie do nieba posłował oraz o sowizdrzale i rajcach. Tylko pochwała Krakowa staje się aktem przymierza między „najeźdźcami" a mieszczanami. Całość jest świeża, poetyczna, zgrabna, dramatyczna, teatralna. „Igrce" mogą być grane także i poza Krakowem (wyobrażam ich sobie doskonale w Toruniu czy Wrocławiu) — choć nigdzie chyba nie kojarzyłyby się tak dobrze z profilem starych murów.

Wyznaję ze wstydem, że po raz pierwszy widziałem widowisko, o którym już przed wojną słyszałem tak wiele. Nie mogę więc porównywać obecnej interpretacji teatralnej z przedwojenną. W każdym razie, obecne przedstawienie „Igrców" jest urocze. Młodziutka St. Zawiszanka werwą, dowcipem i poczuciem stylu podbija widzów. Doskonale grają także: Dwornicki, Żukowski, Zieliński, Wichura. Pięknie tańczy Kr. Terra, którą pamiętamy z „Jajka Kolumba". Śpiewa — P. Kruszewski. Chór składa się z doskonale wyszkolonych i utalentowanych artystek i artystów. Małe niedociągnięcia reżyserskie możnaby zapewne usunąć: np. trębacz trochę zanadto „symuluje". W sztuce Giraudoux na scenie ru Kameralnego grał prawdziwy głuchoniemy. To było chyba trudniejsze, niż wynalezienie w Krakowie prawdziwego trębacza?

Wojciech Natanson.



Ewa Skut (Bielsko) z pracowni prof. Edwarda Piwowarskiego. „Głowa" (gips).

Kronika Olsztyna

IMPREZY

W dniach 21, 22, 23 czerwca odbyły się w Olsztynie uroczystości **Godów Wiosennych.** Na program złożyły się: w sobotę, tj. 21, jako inauguracja, capstrzyk na dziedzińcu zamkowym w wykonaniu olsztyńskiego zespołu harcerskiego, następnie w sali Teatru Młodych artystyczny zespół świetlicowy z towarzyszeniem kapeli ludowej odegrał „Wiesława" K. Brodzińskiego, a młodzież Warmińskiego Uniwersytetu Ludowego z Morąga wykonała inscenizację obrzędową z kiermasza warmińskiego.

W niedzielę, 22 odbyły się nabożeństwa w kościele katedralnym i ewangelickim, następnie festiwal śpiewaczy chórów szkolnych w auli Państw. Gimnazjum Męskiego, pochód ze Starego Rynku ulicami miasta z kukłami, śpiewem, muzyką, pląsami, korowodami i tańcami z udziałem ludności całego Olsztyna. W pochodzie — całowanie babki olsztyńskiej. Po południu „Wysmętkowiny" (sądy nad Smętkiem) na leśnym stadionie sportowym, „Gaik" — występ zbiorowy wszystkich zespołów i wreszcie występy zespołów świetlicowych poszczególnych powiatów woj. olsztyńskiego, śpiewy, recytacje, inscenizacje, tańce ludowe i sądy nad kukłami.

W poniedziałek, 23 jako w dniu inauguracji „Tygodnia Morza" sobótki i wianki wspólnie z Ligą Morską.

23 czerwca odbyła się inauguracja **„Tygodnia Morza"** przemówieniem prezesa zarządu olsztyńskiego okręgu Ligi Morskiej, mgr. M. Sawickiego. Następnie na jeziorze Krzywym obrządek „Wianków", defilada udekorowanych łodzi i kajaków, ognie sztuczne, ognisko harcerskie i inne atrakcje. Po uroczystościach „Wianków" zabawy w kasynie Ligi Morskiej i w kąpielisku miejskim.

28 i 29 zakończenie Święta Morza capstrzykiem (sobota) i mszą św. na gruzach pomnika plebiscytowego (w niedzielę). Po mszy św. — przemówienia, następnie defilowały przez miasto wojsko i organizacje. Po południu w sali Teatru Miejskiego odbył się konkurs chórów, wieczorem — zabawy w Kąpielisku Miejskim i Ligi Morskiej.

ŻYCIE MUZYCZNE

29 czerwca odbył się w Teatrze Miejskim konkurs zespołów śpiewaczych z okazji pierwszego wojewódzkiego zjazdu chórów. Poza konkursem wystąpił reprezentacyjny chór męski Pomorskiego Związku Śpiewaczego „Hasło" z Bydgoszczy.

13. VII. w auli Gimnazjum Męskiego wystąpił chór akademicki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W programie pieśni: Szeligowskiego, Mayznera, Sikorskiego, Wiechowicza, Sobieskiego, Kotarbińskiego oraz recytacje utworów: Rydla, Staffa, Tetmajera, Słonimskiego i innych.

TEATR

21 czerwca Teatr Młodych wystawił sztukę „Wiesław" K. Brodzińskiego w wykonaniu zespołu teatru i „Kiermasz Warmiński", malownicze widowisko regionalne w wykonaniu zespołu artystycznego Uniwersytetu Ludowego z Morąga.

23 czerwca w Teatrze Miejskim im. St. Jaracza odbył się wieczór poezji Jana Kasprowicza w recytacji artysty Teatru Polskiego w Warszawie, Stefana Martyki, z prelekcją prof. dra. E. Sawrynowicza i ilustracją muzyczną prof. K. Serockiego.

24 czerwca artyści scen warszawskich i łódzkich pod artystycznym kierownictwem Jerzego Junoszy odegrali w Teatrze Miejskim im. St. Jaracza komedię „Plecy" Jerzego Jurandota.

28 czerwca odbyła się w Teatrze Miejskim im. St. Jaracza premiera „Grube Ryby" M. Bałuckiego w reżyserii T. Olderwicza, w wykonaniu Olderowicza, Rychtera, Śnieżko-Szafnaglowej, Hermanównej, Zakrzyńskiej, Zadrożyńskiego i innych.

12. i 13. VII. w Teatrze Miejskim im. St. Jaracza warszawski Teatr Mały wystawił komedię pt. „Szkarłatne róże" Alde de Benettiego. W rolach głównych: Hanna Bielska, Kazimierz Pelecki, Stanisław Iwański, Witold Lasocki.

15. i 16 VII. w Teatrze Miejskim im. St. Jaracza zespół artystyczny I. Warszawskiej Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki wystąpił z tańcem, śpiewem, muzyką. Chórem kierował prof. Mieczysław Szymanowski, baletem Marian Winter. W orkiestrze, pod batutą st. sierż. Franciszka Brzoska wzięła udział ksylofonistka, Irena Paluli, konferansjerka ppor. Gierwatowskiego, kierownictwo artystyczne por. Zbyszka Fiderera.

Biografia Józefa Lompy

Janina Ender: Józef Lompa, zarys biograficzny, Pamiętnik Instytutu Śląskiego seria II, tom 9, Katowice - Wrocław 1947, str. 117.

Tak się jakoś składa, że o Lompie przypominamy sobie zawsze przy jakiejś specjalnej okazji. Pierwsza książka o nim, monograficzny zarys Konstantego Prusa, ukazała się z okazji 50-tej rocznicy śmierci w r. 1913, druga natomiast dopiero po latach 34 w 150-tą rocznicę urodzin. Ze zwyczajów tych wyłamał się tylko Kazimierz Dobrowolski wydaniem w r. 1931 bardzo ważnego i pięknie opracowanego zbioru listów Lompy do Kraszewskiego. Dodajmy jeszcze, że i na książce Prusa i na zarysie biograficznym Enderowej zaważył rocznicowy pospiech, a wystarczy, by postawić postulat oderwania badań nad Lompą od nieważnych okoliczności i wprowadzenia ich na normalne tory prac historyczno-literackich.

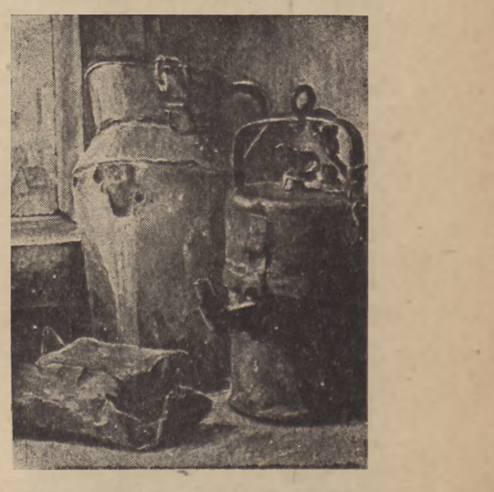
Niemniej niewielka praca badaczki dziejów szkolnictwa polskiego osiadłej po wojnie we Wrocławiu była wydawniczą koniecznością. Próba monograficzna Prusa jest dzisiaj dosyć rzadka, trudna do nabycia, ponadto w znacznym stopniu stanowi zbiór cennych materiałów, które z upływem lat coraz natarczywiej domagały się uzupełnień a przede wszystkim nowego ujęcia, szerszego i bardziej nowoczesnego opracowania. Zarys biograficzny Enderowej wchodzi więc w tej chwili na miejsce książki Prusa, zastępując ją w pewnej tylko mierze, mianowicie w zakresie samego życiorysu. Bibliograficzna część monografii Prusa została zastąpiona i uzupełniona przez bibliografię Ludwika Brożka w 3-cim zeszycie **Zarania Śląskiego** za r. 1947. Poważnym dopełnieniem biograficznym będzie zapowiedziana przez Instytut Śląski edycja listów Lompy do Juliana Bartoszewicza w opracowaniu Al. Rombowskiego. Pozostaje nadal otwarta tylko kwestia opracowania całości jego działalności pisarskiej. Brak tego opracowania i fakt, że druki Lompowskie zaliczane są dzisiaj do prawdziwych białych kruków, utrudnia należyte opracowanie całości zjawiska, jakie tworzy w historii Śląska Lompa, a odbija się ujemnie także i na tym, co pisze się obecnie i w zakresie jego biografii.

Biografia Enderowej w znacznej mierze opiera się na znanych dotychczas źródłach i opracowaniach, które zostały przez autorkę zestawione, porównane i umiejętnie wykorzystane. Można więc mówić o tej książce jako o próbie podsumowania dotychczasowych badań nad biografią Lompy. Próba ta uzupełniona jest jednak kilkoma nowymi zdobyczami. Autorka nie tylko zbadała nie uwzględnianą dotąd korespondencję urzędową Lompy i jego wizytatorów w sprawach szkolnych, obszerny rękopis cieszyński, nieopublikowaną jeszcze korespondencję z Bartoszewiczem, lecz przede wszystkim odkryła w archiwum archidiecezjalnym we Wrocławiu **Acta denuntiationis c/a den Schullehrer Lompa,** źródło wyjątkowo cenne i rzucające światło na najbardziej dotychczas tajemnicze wypadki w życiu śląskiego pisarza. Odnosi się jednak wrażenie, że w pospiechu nowe te zdobycze nie zostały odpowiednio wyzyskane, przez co w całości opracowania ich udział trochę się zaciera.

W świetle zarysu biograficznego Janiny Ender Lompa rysuje się wyraźnie, plastycznie, interesująco. Wychodzi w tym ujęciu jakoś pełniej niż dotychczas przede wszystkim jako człowiek. Nie we wszystkich jednak okresach. Autorka zgodnie ze swoimi głównymi zainteresowaniami obszernie i dokładnie scharakteryzowała warunki pracy nauczycielskiej Lompy i stan szkolnictwa na Śląsku w jego czasach. Umiejętnie i trafnie podkreśliła niektóre cechy jego charakteru i temperamentu, dobrze nakreśliła obraz środowiska, z jakiego wyszedł, w jakim wzrastał i w jakim pracował. Poważne natomiast luki wykazuje w biografii okres Wiosny Ludów, który dla charakterystyki Lompy jest bardzo ważny, ale tu często brak źródeł. Nieśmiało potraktowany został proces dyscyplinarny, o którym na podstawie „Acta denuntiationis" dałoby się chyba więcej powiedzieć. Są i pewne drobiazgi, które możnaby zakwestionować. Początek historycznych zamiłowań Lompy nie może być wyznaczany na lata 1829—1835, skoro mamy ich niewątpliwe dowody w rękopisie cieszyńskim z r. 1813 (Lompa miał wówczas 16 lat!). Także kwestia etymologii nazwiska (Lompa = lampa) jest wątpliwa i supozycje samego pisarza nie znajdują tu poważniejszego uzasadnienia.

Zastrzeżenia te nie umniejszają informacyjnych wartości książki. Wartości te są dwustronne: dla zwykłego czytelnika interesującego się przeszłością Śląska i dla badacza, który będzie studia nad Lompą kontynuował. W tym drugim wypadku książka Janiny Ender stanowi pewną ogólną, informacyjną podstawę, punkt wyjścia do dalszych uzupełnień i szczegółowszych rozstrząsań poszczególnych okresów i zagadnień. Obecnie pilną już potrzebą staje się wydanie wyboru pism Lompy, który mógłby dać należyte pojęcie o całości jego pracy pisarskiej.

Zdzisław Hierowski.



KURT OPIOŁKA malarz szyldowy z Zabrza, l. 27. „Na stole górnika" (akwarela). Niezwykle uzdolniony. W tym roku skierowany będzie przez Woj. Radę Kultury do Szkoły Sztuk Plastycznych.

ły do K. G. A. K., stwierdzały, że akcja „N" była jedną z najlepszych robót dywersyjnych w walce z Hitlerem na wszystkich frontach. Wywiad angielski, który robił tzw. „Luftpostbalons" — mimo, że nie pracował w podziemiu, lecz w wolnym kraju — obiektywnie przyznawał wyższość akcji „N".

Po co więc fałszować i pomniejszać polski wkład do walki z Niemcami, który nie tylko na odcinku walki zbrojnej, ale i na odcinku dywersji moralnej — był duży i przodujący w Europie.

A teraz sprawa rzekomej propagandy osoby T. Żenczykowskiego. Najpierw małe pytanie. Czy dlatego, że komendantem głównym AK był gen. Bor-Komorowski, a na co żadnego wpływu nie miały w *okupacji* i w *konspiracji* i w *wojsku* dziesiątki tysięcy żołnierzy i oficerów — całą walkę AK z okupantem mamy zakwestionować jako osobistą reklamę owego Bora?

Czyż to nie byłoby znowu fałszowanie historii, mylenie pojęć itd.

Podobnie sądzę, przedstawia się sprawa z udziałem Żenczykowskiego w akcji „N". Prawdą jest, że był kierownikiem komórki „N" w K. G. A. K. Ale niemniej jest prawdą, że *właściwym szefem „N" był płk. Jan Rzepecki, jako szef BIP-u.* W akcji „N" pracowało kilkaset żołnierzy Armii Krajowej w różnych stopniach i na różnych szczeblach organizacyjnych, należących do różnych organizacji politycznych przed wojną, włącznie z KPP i KZM.

Toteż sugerowanie przez obyw. ZEZ-a, że akcja „N" była kierowana przez szefa propagandy OZON-u, a więc dlatego musiała być zespołem nie demokratycznym, jest również jednym z dalszych fałszów.

Akcja „N" była organizacyjnie robotą K. G. A. K. „N" w strukturze BIP-u funkcjonował jako podwydział. Była to wojskowa robota.

„R" była robotą partyjną (WRN) znajdującą się całkowicie poza ramami AK.

Julian Wróblewski

Warszawa

ECHA POWSTANIA STYCZNIOWEGO NA ŚLĄSKU

W związku z artykułem p. Edmunda Odorkiewicza pt. „Śląskie echa Powstania Styczniowego", zamieszczonym w Nr 27 (84) Odry, w którym autor na marginesie mojego artykułu pt. „Śląsk walczył o wolność", Odra Nr 16 (73) wytknął brak wzmianki o echach Powstania Styczniowego na Śląsku (oraz zaznaczył, że żaden z historyków polskich nie zajął się dotychczas tym zagadnieniem), proszę dla wyjaśnienia o umieszczenie tej części z mojego wyżej wspomnianego artykułu która została pomyłkowo opuszczona w druku:

„Wiemy już dzisiaj, nie tylko z opracowań polskich np. I. Feldmanna, ale i niemieckich, np. Ilse Schwidetzky pt. „Die polnische Wahlbewegung in Oberschlesien", Wrocław, rok 1934, wydany przez Osteuropa-Institut we Wrocławiu, że dyrektor policji w Poznaniu, Baerensprung, którego zdemaskowano jako prowokatora, składał Berlinowi raporty o agitacji polskiej na Śląsku i pozostawał w kontakcie z austriacką policją w Krakowie, która śledziła zwłaszcza granice dawnej Galicji i Śląska Opawskiego na Zachodzie, którędy przenikali emisariusze z Paryża i Londynu. Prasa śląska publikowała niektóre dokumenty z archiwum Starostwa w Cieszynie, dowodzące, jak troskliwie policja austriacka pilnowała tej granicy. Z artykułu Piotra Pampucha ogłoszonego w „Zaraniu Śląskim", 1935 r. pt. „Fossores ex Polonia" i innych prac, wiemy, że kiedy wybuchło Powstanie Styczniowe w 1863 r., spora ilość robotników polskich opuściła Górny Śląsk, spiesząc z pomocą powstańcom, a byli tam nie tylko Królewiacy spoza Brynicy i Przemszy, ale i również Górnoślązacy. Nawet niemieccy autorzy, jak dr Karol Franzke w książce pt. „Die oberschlesischen Industriearbeiter von 1740 — 1886", Wrocław 1936 r. przyznają, że jeszcze w roku 1866 w czasie wojny prusko-austriackiej Górnoślązacy w niektórych miejscowościach dosyć ostro wystąpili przeciw władzom pruskim, dowodząc tym samym, że ich tak reklamowany przez Niemców „patriotyzm pruski", to sztuczny wytwór i wynalazek już ówczesnej niemieckiej propagandy".

Eugeniusz Poniatowski

Pisarze łużyccy



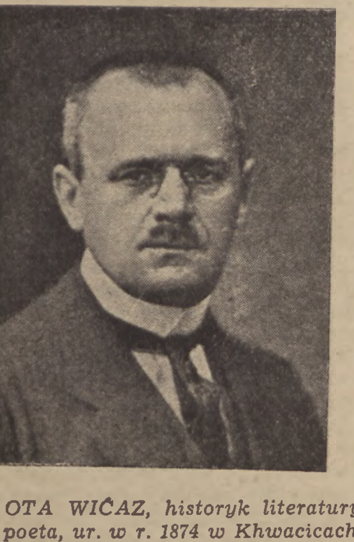
MINA WITKOJC, poetka dolnołużycka, ur. w r. 1893 w Bórkowach, jako córka służącej. Była redaktorką „Casnika". Wydała dwa zbiorki poezji: „Dolnoserbske basńe" i „Wienaszk błoŝańskich kwietkow". Oprócz wierszy pisze artykuły, opowiadania prozą i tłumaczy z górnołużyckiego, czeskiego, słowackiego, polskiego i niemieckiego.



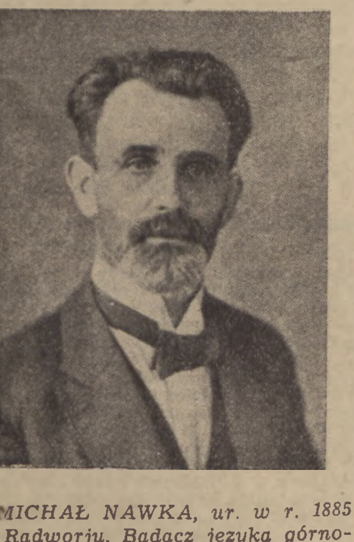
Ks. JÓZEF NOWAK, górnołużyczanin, ur. w r. 1895 w Wotrowie, wydał poezje „Z duchom swobody" i dramaty: „Poslední kral" (według eposu niemieckiego „Der letzte Wendenkönig"), „Swobody njewjesta" (wyd. w r. 1922) i „Lubin a Sprewja" (patriotyczna sztuka w dwóch aktach). Bohaterka dramatu „Swobody njewjesta", Wita, przypomina Rozę Wenedę z „Lilli Wenedy" Słowackiego.



MARCIN NOWAK - NJECHORŃSKI, ur. w r. 1900 we wsi Njechorń k. Budziszyna, malarz i pisarz. Tłumaczył fragmenty z utworów Reymonda (z „Chłopów"), Żeromskiego, Tetmajera (z „Na skalnym Podhalu"), Ejsmonda i in. Z utworów oryginalnych wymienić trzeba: „Djobot w holi" (Diabeł w borze) i „Rycerze". Poza tym pisze reportaże podróżnicze m. in. z pobytu swego w Polsce.



OTA WIĆAZ, historyk literatury i poeta, ur. w r. 1874 w Khwacicach. Napisał rozprawkę o łużyckiej poezji ludowej i książkę o Muce. Poezje wydał w zbiorku „Hodźijske idyle". Tłumaczy z literatury czeskiej i polskiej (Kochanowski, Krasicki, Mickiewicz i in.).



MICHAŁ NAWKA, ur. w r. 1885 w Radworju. Badacz języka górnołużyckiego, autor „Przewodnika po serbskiej rzeczi". Przetłumaczył na łużycki arcydzieło Gogola „Rewizor".

Wśród czasopism

Z prasą periodyczną na Ziemiach Odzyskanych jest kiepsko. Ani rusz nie może podźwignąć się z jakiegoś przedziwnego letargu, z jakiegoś niedowładu i marazmu. Niedawno miałem sposobność do kilku krytycznych uwag o tygodniku *Szczecin*, potwierdzanych systematycznie korespondencjami z tego ciekawego i mającego przed sobą wielką w Polsce przyszłość miasta. Z okazji pierwszych numerów pisałem również krytycznie o *Nowinach Opolskich* i tygodniku *Wałbrzych*. Teraz przejrzawszy kilkanaście ostatnich numerów pierwszego z tych czasopism i komplet drugiego z przykrością stwierdzam, że mimo najlepszej woli pierwszego sądu zmienić nie mogę. Zastanawiający jest jeden fakt: w końcu siedzą przecież w jednej i drugiej redakcji ludzie, którzy reprezentują jakiś poziom intelektualny, którzy z prasą i z piórem mieli coś niecoś do czynienia już przedtem i na innym terenie, w końcu i w jednym i w drugim mieście jest jakieś środowisko kulturalne, będące pewnego rodzaju aparatem kontrolnym dla publicystycznej pracy ludzi, którzy te pisma tworzą i nimi kierują; jakże można więc tłumaczyć fakt, że na przestrzeni roku całego pismo brnie z numeru na numer w tych samych błędach, brakach i niedomaganiach, by reprezentować poziom ostatniej Pipidówki. Mimo woli rodzi się pytanie: kto te pisma i jak czyta, do kogo one trafiają i jak na nie reaguje czytelnik. Nie znam prasy lokalnej mniejszych miast Polski centralnej, lecz wydaje mi się, że w żadnym z nich tolerowanie tego rodzaju prasy nie byłoby na dłuższą metę możliwe. W jednym muszę przyznać obydwu redakcjom pewien spryt: nie wysyłają egzemplarzy wymiennych ani do *Szpilek*, ani do *Odrodzenia*, ani do *Przekroju*; zyskują tym to, że przeznaczone dla nich miejsce zajmują tam w „gabinetach", „camerach" i „rozmaitościach" niezłomny IKP oraz „Głos Wielkopolski". Niepokoi mnie przy tym rzecz inna: owe rubryki robione są przeważnie z nadesłanych wycinków; znaczy to, że odbiorcy omawianych pism albo ich w ogóle nie czytają traktując je jako stałą, trochę drogą, ale obowiązkową porcję papieru użytkowego, lub jeśli czytają — ten wypadek jest gorszy — nie widzą tych wszystkich gaff i śmieszności, które aż proszą się o rozpowszechnianie w obecnej dobie ciężkiego i bladego dowcipu. Wobec tych zjawisk trzeba dojść do przekonania, że redakcje tych pism nie posiadają żadnej samokontroli, że zmysłu krytycznego pozbawieni są tam w stopniu zastraszającym. Nie ma zresztą w tym stanie rzeczy, którym przysługuje piękny tytuł „redaktora naczelnego". I dodać trzeba jedno: bezmyślność, z jaką kontynuuje się tę niepotrzebną pracę jest beznadziejna.

Weźmy do ręki *Nowiny Opolskie*. Nr z dnia 5 maja: krótki wiersz „Polska", poza tym na całej stronie pierwszej artykuł pt. „Ludowi pracy, młota, pługa i pióra" w stylu wiadomym, na stronie drugiej „Tydzień Ziem Zachodnich na Śląsku", „Granica na Odrze i Nissie(!) niewieczy Prawą nach Osten" i „Majowe święto oświaty". Na kolumnie trzeciej, noszącej tytuł „Z ziemi Opolskiej" dwa artykuły o urzędniczych stosunkach standardowych, notatka o uroczystościach ku czci bohaterów getta, o pogłębieniu poborowych i obrocie pocztowym. Stronę trzecią zajmuje felieton o tym, jak rozpoczął się transport węgla przez Racibórz i dział urzędowy z tekstem ważnego dekretu. Dwie dalsze strony to „Pan Tadeusz", ostatnie dwie ogłoszenia. Numer test zupełnie podobny: o święcie chłopów, pracy PZZ, uroczystości społecznej w Opolu, o święcie lasu, o straży pożarnej w Opolu (zapełniłuby 300 wierszy), kronika opolska na poziomie poprzedniej. I znów „Pan Tadeusz" i ogłoszenia. Tak idzie numer za numerem, niemal jeden od drugiego gorszy. Jak artykuł, to już koniecznie na ¾ kolumny, jak sprawozdanie z akademii to koniecznie na pół, jak kto się uprzejmie zawiadomić o notatce kronikarskiej, że w Raciborzu wywieszono zegar na dworcu, to musi mieć na to 15 wierszy, bo kolei trzeba przecież podziękować. We wszystkich artykułach zasadą jest jak najmniej prostoty, jak najwięcej dętego patosu, deklamacji i wyświechtanych powiedzonek przy hojnym szafowaniu obcymi wyrazami. Są i niezłe pomysły redakcyjne, jak krótkie sylwetki wybitnych Opolan lub migawki historyczne, ale robione to jest pożal się Boże! A już szczyt wszystkiego stanowią niektóre dyskretne literackie i recenzje teatralne. Oto wyjątki, których nie mogę odmówić czytelnikom, z artykułu „Wołamy o literaturę" (skrót odczytu wygłoszonego na inauguracji tygodnia kultury). Cytuję bez zmian i opuszczeń: „Choć literatura jako piękno jest rzeczą trudną (Plato), to jednak za pomocą niej lepimy człowieka lepszego, miękki wosk (Pseudo-Plutarch). Starostwo Opolskie i Zarząd m. Opola przez założenie biblioteki rozszerza znajomość literatury do (!) najszerszych mas. Polska Demokratyczna Ludowa pragnie przetworzyć duszę obywateli na Czyn i Dobro w imię szczęścia i odrodzenia człowieka." A to zadania pisarza w tym samym ujęciu: „Literatura więc musi być wielokrotnie aktualizowana, a pisarz żyć musi w rzeczywistości i mieć wiarę w promienne działanie ideału, który przy dobrej woli człowieka rozpędzi przeszkody ziemi". I jeszcze jedno hasło ob. Mariana Szymańskiego: „Ogrom cierpień i historii naszej, bogactwo doświadczeń ostatniej wojny nakazują nam porzucić elitarny marazm!" W tym stylu zadrukowano pół kolumny. Z recenzji teatralnej, która nadaje się w całości do przedrukowania przytoczę już tylko jedno zdanie, które jest naprawdę autentyczne: „Do tej pory cieniąca jako przedstawienie artystka St. Mazarekówna *pokazała swój palec komediowy*". Wystarczy, prawda? Do kompletu warto jeszcze dodać tytuł jednego z artykułów wstępnych: *„Utrzymy Hydrze Łeb!"* Wobec tego należy zmienić jeden z wierszy „Ody do młodości", który winien brzmieć: „dzieckiem w kolebce, kto łeb *utarł hydrze*", a niektórym redaktorom należy przytrzeć nosa.

Trudno, nie pomogą żadne wróbelkowate wyskoki w obronie tej mizernoty, jaką są *Nowiny Opolskie*. Szkoda czasu i pieniędzy na takie pismo i władze PZZ winny w sprawę tę wkroczyć szybko i energicznie. Ta marnują się społeczne pieniądze, za które prowadzi się ogłupianie ludzi na Opolszczyźnie.

Z tygodnikiem *Wałbrzych*, choć redaguje go poeta, kandydat na kawałek literata, Członek Grupy Ideowej Pisarzy Sudeckich, nie jest lepiej. Jest zupełnie to samo. A tu sprawa jest tym dziwniejsza, że przecież pismo jest niemal oficjalnym organem owej osławionej grupy ideowej, że w grupie tej są przecież — po znacznej mniejszości wprawdzie), jeśli nie pisarze to literaci z prawdziwego zdarzenia, którzy dotychczas gruntu pracy nie wypisywali. Ale coś w tym, zdaniem ich, odrębnym klimacie sudeckim, w tej odrębności terytorialnej i ustrojowej organizacji grupy, w tym specyficznym i niesmaku. Kabała orgia nahalnego patriotyzmu opętała ich pióra, jakieś nieprawdopodobne tromtadractwo; pękają po prostu od patosu i bogobojczyzmu pseudo demokratycznych uniesień. Doprawdy, że przykro o tym pisać, bo zatem tecznie czegoś innego po nich tam oczekiwaliśmy i spodziewaliśmy się znacznie więcej.

Wałbrzych można scharakteryzować jako pismo nie do czytania. Czasem chciałoby się rzec, że jest to pismo, którego czytać się nie powinno. Cała niemal publicystyka na poziomie artykułu ob. Silfena o O. N. Z., to znaczy takim: „Na rozłogach skrwawionej ludzkości żyją milionowe masy przesiąknięte ideą pacyfizmu i humanizmu i te w kornym skupieniu i milczeniu składają hołd tej szlachetnej idei ONZ"... itd. Zaraz po takim artykule idzie równie obszerny na temat Powszechnego Domu Towarowego w Wałbrzychu, a potem takich samych rozmiarów elaborat o sztandarze dla cechu 24 fotografów, potem wspomnienia, felietony i recenzje ob. Iwańskiego, za które bez względu na sędziwy wiek powinien zostać obity zarówno przez Centkiewicza jak i przez Teofila Kowalczyka. Na czele felietonów stoi stała „Pieśń o naszym mieście", poświęcona knajpom i kelnerom. Najzabawniejsze są przeżycia wspomnianego już ob. Silfena przy „wyjeździe" do Czechosłowacji, t. zn. 5 km za granicę. Szkoda miejsca na cytowanie, skoro tam nawet jegomość piszący notatkę o otwarciu muzeum stwierdza, że ob. prezydent miasta wypowiedział się „w krótkim i d o s a d n y m przemówieniu". Trudno się dziwić tej dosadności, skoro **Członek Grupy** Ideowej Pisarzy Sudeckich bliżej nieznany Paweł Szumilas tak poetycko wynętrza się o górnikach: „Dzień i noc kuje górnik pod ziemią. Bez wytchnienia posuwa się w głąb i wydziera ziemi ukryte w niej skarby, *bez których nie ma dziś ani światła, ani ciepła, ani ruchu*. Mało kto zna górnika, mało kto widzi, a wielu nie rozumie, że te dary, które my tu na powierzchni mamy, są wykute jego twardą ręką, jego wolą i jego miłością ludzkości". — Ten piękny wstęp należy do opowiadania, które tak snuje się dalej: „Kiedyś dawno, gdym *będąc jeszcze młodzieńcem* siedział *zadumany* nad zasypaną, umarłą już kopalnią, nie wiem *czy mi się śniło*, czy też *było to na jawie*, stanął przy mnie cień starego górnika"... Z Tańskich Hoffmanowa kazała się kłaniać! Ale współpracownicy *Wałbrzycha* mają w ogóle inklinację do mistycyzmu. Bo ob. Kaszycki np. pisze: „Ziemia wałbrzyska to dalszy łańcuch Sudetów i czuję się jej synem. Jestem tu po raz trzeci, choć *byłem tu przed wiekami*". Jakaś nowa „geneza z ducha", która kończy się gratulacjami dla pisma, drukującego te elukubracje. A może ob. Kaszycki jest nowym wcieleniem Rübezahla?

Spuszczamy zasłonę na te smutne sprawy, które pozostawione swojemu biegowi spowodują, że za rok potwórzymy dosłownie to wszystko, co było powiedziane powyżej. Zobowiązuję się tylko uaktualnić cytaty. *(ki)*

Przegląd Wielkopolski

Miesięcznik regionalny poświęcony zagadnieniom kultury wielkopolskiej w przeszłości i w chwili obecnej pod red. dr Zdzisława Grota. Wydawca: Jan Jachowski, Poznań. Nakładca: Księgarnia Akademicka w Poznaniu. Rok III nry 1—3 i 4—6 1947 r.

Kilkanaście lat temu Wielkopolska nie miała własnego wyrazu kulturalnego. Wielkopolska była ugorem, na którym nie było miejsca na kwiaty. Jednak pojawili się entuzjaści jej odrodzenia kulturalnego. Powstają różnorodne „Kroniki", pisma i pisemka literacko-regionalne, a prasa prowincjonalna wiele miejsca poświęca zagadnieniom kulturalnym prowadząc nawet stałe tygodniowe kolumny „Kultury i sztuki".

Hasło budowania u podstaw wypisały w swym programie „Wici Wielkopolskie" pod redakcją Mariana Turwida w latach 1931—1938. Regionalizm wielkopolski „lewym skrzydłem o przeszłość, a prawym o przyszłość uderzał". I w tym odwoływaniu się do przeszłości przy równoczesnym działaniu dla przyszłości mieścił się istotny sens regionalizmu wielkopolskiego.

„Przegląd Wielkopolski" wznowiony po sześciu latach przerwy, ukazał się na nowo w 1946. Chce on służyć zdobywaniu i krzewieniu gruntownej i wszechstronnej wiedzy o Wielkopolsce.

I istotnie dobrze wywiązuje się ze swej roli gruntownego zaznajamiania czytelników z zagadnieniami wielkopolskimi. Miesięcznik ten jest także przykładem, jak powinno wyglądać wartościowe i poważne pismo regionalne i dlatego też interesuje ono pracowników kultury, naukowców i oświatowców całej Polski. Sprawiają to artykuły i rozprawy uczonych poznańskich (przeważnie profesorów Uniw. Pozn.). Między innymi wymienić wypada artykuł dra Ludwika Bykowskiego „Ze wspomnień osobistych o Janie Kasprowiczu", mgr. Stanisława Gołębiowskiego o roli i znaczeniu Kolegium Lubrańskiego dla Wielkopolski. Sylwetkę i działalność dra Grzegorza Snopka z Szamotuł, rektora Uniw. Jag. w wieku XVI kreśli badacz szamotulski, Henryk Przybylski. Dr Jerzy Młodziejowski snuje ciekawe wynurzenia na temat „Harnasiów" Szymanowskiego, wystawionych w Poznaniu (styczeń 1947) w nowej inscenizacji Stefana Janasika, młodego malarza i historyka sztuki. Dr Zarach opisał żywot i dzieło tragicznie zmarłego w Warszawie (wrzesień 1939), uczonego poznańskiego dra Józefa Morawskiego, a Tadeusz Leszner — Stanisława Zgaińskiego, grafika wielkopolskiego. Postać Józefa Sułkowskiego w legendzie i historii ukazuje dr A. Skałkowski. Wskrzeszenia pamięci i czci dla światowej sławy teoretyka wychowania, Jana Amosa Komeńskiego (ur. na Morawach), a działającego w Lesznie Wlkp. od 1648 r.) domaga się w artykule „O rehabilitację Komeńskiego" dr Ludwik Bykowski. O Wacławie z Szamotuł pisze na 22 stronicach nr 4—6 autorytet muzykologów polskich dr A. Chybiński, zajmujący się twórczością Wacława już od lat 30. Z działalnością Jana Paterka z Szamotuł „piastuna języka polskiego" XVI wieku w Krakowie zaznajamia Henryk Przybylski. Przyrodników zainteresuje niewątpliwie szkic B. Maskego pt. „Flora i fauna powiatu szamotulskiego". Zasłużonych Wielkopolan wspominają: A. Dytkiewicz (Stefan M. Stoiński), dr W. Jakóbczyk (Stanisław Szczepanowski), dr M. Jabczyński (Marcinkowski), dr K. Kaczmarczyk (Duch Marcinkowskiego). Nieznany przyczynek do dziejów polskiej kartografii w XIX wieku podaje dr Jerzy Młodziejowski w artykule „Wiktor Adam Kurnatowski i jego mapa W. ks. Poznańskiego". Znany prehistoryk poznański dr Zdzisław Rajewski, kierownik wykopalisk biskupińskich w informującym szkicu „Co zrobić z Biskupinem?" domaga się po zrealizowania wszystkich wysuniętych projektów, by Biskupin został „pewnym dotykalnym symbolem dawnej Słowiańszczyzny" oraz „przekonywującym środkiem propagandowym" i „atrakcyjnym punktem turystycznym w Europie".

Bardzo cennym działem „Przeglądu Wielkopolskiego" jest dział „Nowe wydawnictwa", w którym zabierają głos autorzy artykułów i redaktor pisma. Nry 1—3 i 4—6 zamykają kroniki z życia kulturalnego Poznania, Wągrowca, Szamotuł.

Wartość pisma podnoszą w dużym stopniu: efektowna szata graficzna (Teatr Wielki w Poznaniu — rys. Wita Gawęckiego Nr 1—3, płaskorzeźby na pomniku Wacława z Szamotuł — art.-rzeźb. Wojtowicz i Woźniak Nr 4—6), liczne ilustracje, dobry papier i staranna korekta.

„Przegląd Wielkopolski" jest zatem reprezentacyjnym pismem regionalizmu wielkopolskiego, stanowi punkt wyjścia i odskocznię dla licznych dalszych prac różnych naukowców i literatów przez to właśnie, że zwraca uwagę na ogromne bogactwo dawniejszej i dzisiejszej Wielkopolski, dotąd za mało w całej Polsce znanej pod względem „pejzażu duchowego".

Adam Dytkiewicz

Debiut z Zagłębia

Maria Klimas - Błahutowa: „NA HAŁDACH ROSNĄ LUDZIE", powieść z życia Zagłębia Dąbrowskiego, Katowice 1947, str. 232. Sp. Księg. „Ognisko".

Ubogi jest literacki dorobek Zagłębia Dąbrowskiego. Interesował się tym terenem i jego ludźmi pod koniec XIX wieku Artur Gruszecki, nie ominął go czuły na problemy społeczne Żeromski, więcej uwagi poświęcił mu Kaden-Bandrowski. Własnego pisarza wydało Zagłębie dopiero na kilka lat przed wojną. Był nim Jan Waśniewski, autor trzech interesujących tomów prozy, któremu nie dorównał zupełnie Edward Kudelski reportażową powieścią o Sosnowcu. Bezpośrednio przed wojną rozpoczęła działalność ruchliwa grupa dziennikarzy o silnych zainteresowaniach literackich z Włodzimierzem Lempertem i Witalisem Krajewskim, obok nich podwaliny pod regionalizm zagłębiowski kładł również dziennikarz Konstanty Ćwierk. Te kilka nazwisk tworzyły już coś w rodzaju małego środowiska kulturalnego, dawały już początek jakiemuś ruchowi kulturalnemu, który z biegiem lat mógł się rozwinąć w zjawisko może nawet interesujące, a w każdym razie, pożyteczne. Gdybyśmy chcieli mówić o stratach kulturalnych Zagłębia, to są one chyba stuprocentowe, jeśli chodzi o odcinek literacki. Żadne z wymienionych powyżej zagłębiowskich nazwisk już się po wojnie nie powtórzyło.

Z tym większym zainteresowaniem i z sympatią na kredyt bierze się do ręki książkę debiutującej autorki, Marii Klimas-Błahutowej. Podtytuł wskazujący, że jest to powieść z życia Zagłębia Dąbrowskiego nie jest może zbytnio potrzebny i nie należy do stosowanych dziś zwyczajów, nie mniej zaciekawia. Waśniewski pokazał, jak doskonałym tematem powieściowym jest Zagłębie. To zachęca.

Powiedzmy z góry, że książka Błahutowej nie jest książką dla sma koszy. Nie odkrywa talentu fascynującego, rewelacyjnego, nie imponuje wysoką kulturą literacką i sprawnością pisarskiego rzemiosła. Debiut to surowy i prosty, który nie przekonuje rezultatami artystycznego wysiłku, przypomina raczej zgrubsza ociosaną bryłę surowego materiału. Materiał to w zasadzie szlachetny i ten fakt budzi zaufanie.

W powieści swej pragnie autorka pokazać „wyrastanie na ludzi" dwóch dziewcząt z proletariackiego środowiska górniczego. Jedna z nich, zdolniejsza i twardsza, poprzez wszystkie przeszkody dochodzi do studiów wyższych i doktoratu, by powrócić do rodzinnego Zagłębia w nowym charakterze, do nowej pracy na umiłowanym terenie i wśród bliskich jej ludzi. Druga poprzestaje na skromnej pracy i skromnej pozycji, ale też wyrasta w cieniu energicznej siostry na pełnego i wartościowego człowieka, który umie sobie poradzić z życiem. Wokół tych dwóch sióstr skupia autorka grono ciekawie i niekiedy plastycznie zarysowanych postaci drugoplanowych. Nie wszystkie one wypadły równie żywo i prawdziwie. Obok sylwetek doskonałych, jak ojciec, stara Książkowa, Maryna, Antek, przewijają się przez powieść ludzie konwencjonalni i anemiczni, słabo lub nieciekawie rysujący się w pamięci i wrażeniach czytelnika. W charakterystykę obydwu kobiet wysuniętych na plan pierwszy włożyła autorka dużo starannej obserwacji, dużo prawdy, lecz też nie ustrzegła się konwencji przechodzącej czasem w banał.

Powieść Błahutowej to jakby zagłębiowski wariant „Dziewcząt z Nowolipek". Książka ta przypomina żywo niepozorny, blady dosyć debiut Gojawiczyńskiej zbiorem nowel „Powszedni dzień". Stwierdzić można u Błahutowej wrażliwość na te same tematy i zagadnienia, co u Gojawiczyńskiej, mamy tutaj też podobne próby podkreślenia problematyki socjalnej przy wyraźnym niewielkim jej pogłębieniu, przy podobnych trudnościach w jej powieściowym potraktowaniu. Zagłębie w swej społecznej strukturze zmusza pisarza do zajęcia jasno określonej, wyraźnie ideologicznie zarysowanej, konsekwentnej i dającej się zdefiniować postawy społecznej. Tego w powieści Błahutowej nie ma i to jest jej słaba strona, pomimo że intencje autorki nie budzą zastrzeżeń. Pod tym względem książka zbyt mało i zbyt słabo postuluje; wynikający z odczucia potrzeb społecznych sentyment zastępuje żelazną logikę faktów społecznych.

Styl, język, tok narracji, dialogi wskazują, że autorkę czeka jeszcze poważna praca nad udoskonaleniem środków wyrazu. W książce tej zasadniczo poprawnie napisanej niejedną stronę trzeba by jeszcze przekreślić i spróbować kilka razy napisać na nowo. Oszczędniej, zwięźlej, w sposób własny, bez ulegania konwencjom i zużytym wzorom, bez ulegania pokusom łatwych sformułowań, bez wielu nieciekawych rekwizytów w sytuacjach i opisie.

Wszystkie te uwagi są raczej wynikiem wtórnej refleksji krytycznej. Na pierwszy rzut książkę czyta się raczej łatwo, z zajęciem. Zjednuje spokojnym, bezpretensjonalnym realizmem wielu motywów i wątków, który pokrywa niejedną usterkę. W sumie ten debiut nie pozostanie bez konsekwencji. Wskazuje, że dalsze książki Błahutowej mogą dojść do poziomu beletrystyki Waśniewskiego przy opanowaniu techniki narracji przynajmniej w tym stopniu, w jakim on nią dysponował zwłaszcza w tomie „Po dniówce". Proza Błahutowej ma mniej temperamentu, jest mniej wartka i bardziej blada. Wymaga dyscypliny i mocnego szlifu według świadomie sobie postawionej oby nie bylejakiej miary.

Książka ta rozpatrywana jako twórczy przejaw kulturalnej aktywności Zagłębia Dąbrowskiego, musi powitana być życzliwie. Rzecz tylko w tym, by zainteresowanie środowiska podniecało autorkę i nie zatrzymywało jej w rozwoju. Temat zamyka książkę w granicach regionu, który w tym wypadku jest nawet bardzo ciasny. Włożony w jego opracowanie trud artysty — otwiera te granice.

Zdzisław Hierowski

O zamku w Chojnie

o Maniusiu Kitajcu i o znajomości zagadnień

Sprawa zamku w Chojnie i jego zbiorów nabrała w ostatnich tygodniach, w kołach społeczeństwa dolnośląskiego, zwłaszcza zaś w sferach intelektualnych, oraz wśród czynników związanych ze sprawami kultury i sztuki, nieco niepokojącego rozgłosu o posmaku sensacji. Czynnikiem zaś, który w znacznej mierze przyczynił się do wzmożenia tego rozgłosu był artykuł Mariana Brandysa ogłoszony w 115. numerze „Przekroju" z 22—28 czerwca. Fakt, że tuż pod bokiem władz powiatowych i wojewódzkich, w dobie szczególnie pieczołowitej ochrony mocno nadwyrężonych przez wojnę i okupację dóbr kulturalnych, cenne zabytki sztuki niszczeją i ulegają zatracie, jest zjawiskiem szczególnie bolesnym, niepokojącym i groźnym.

Znając całokształt zagadnienia zamku w Chojnie dość dobrze, w każdym razie wystarczająco dobrze, aby móc w tej sprawie głos zabrać, pozwolę sobie na sformułowanie kilku zaledwie uwag, które jednakże, zdaniem moim, powinny rozprószyć te obawy i niepokoje, którymi w ostatnich czasach wezbrała opinia publiczna. Ograniczając ten, może nieco zbyt długi wstęp, uznając szlachetne intencje autora artykułu w „Przekroju", który z wielką odwagą walczy o zachowanie wysokich kulturalnych wartości, stwierdzić jednakże trzeba, że artykuł Mariana Brandysa wykazuje, niestety, brak znajomości stosunków, panujących na Dolnym Śląsku, że operuje ściśle reporterskimi chwytami, obliczonymi na efekt, że autor z rozbrajającym narcyzmem upaja się literacką formą swej wypowiedzi, zapominając chwilami o zasadniczej treści.

Zarzuty najistotniejsze w efektownym reportażu Brandysa streścić można w stwierdzeniu, że zbiory zamku w Chojnie obdarzone zostały przewodnikiem prymitywnym zupełnie i najzupełniej nieodpowiednim dla sprawowania funkcji tak bardzo odpowiedzialnej, jak oprowadzanie po zbiorach wycieczkowiczów, gości i turystów wszelkiego rodzaju. Uwaga głęboko słuszna, zwłaszcza jeśli się zważy, że zainteresowanie zamkiem i jego zbiorami jest naprawdę imponujące. Przewodnikiem takim musi — rzecz oczywista — być osoba fachowa, inteligentna, rozporządzająca pewnym zasobem wiedzy oraz kultury, a nie żaden „Maniuś Kitajec". Jednakże na dowód tego, jak niebywale trudną sprawą jest znalezienie takiego „cicerone", niechaj posłuży fakt, że sam p. Marian Brandys przy całej swej znacznej kulturze oraz znajomości poruszanych przez siebie zagadnień, popełnia tak zasadniczy błąd, że XIX — to wieczne naśladownictwo bierze za oryginalny krucyfiks romański, w orle na jednym z ramion owego krzyża, który jest niczym innym, jak jednym z czterech, figurujących na nim symbolów ewangelistów widzi godło piastowskie, a rekwizyty teatralne w sali restauracyjnej uważa za oryginalne zbroje renesansowe. Na okres letni p. Brandys proponuje ulokować na zamku praktykantów-historyków. Myśl bardzo zdrowa i słuszna Tu jednak dochodzą do głosu naprawdę niełatwe sprawy kredytów, zamieszkania i wyżywienia praktykanta, który musiałby pracować bardzo sumiennie i ciężko, a przebywać na zamku stale. Oprowadzanie po zbiorach jest pracą niebywale wyczerpującą i to co p. Brandys pisze o opalaniu się i odżywieniu nie jest znowu sprawą tak prostą i niewątpliwą, jakby się mogło wydawać.

Obywatel Antoni Witek oraz jego latorośl są złymi opiekunami zamku. Jest to fakt niewątpliwy. Nie mam bynajmniej zamiaru występować w obronie czyjejś niekompetencji, ignorancji, zupełnego braku jakiejkolwiek bądź wiedzy czy też umiejętności niezbędnej dla sprawowania takiej opieki. W tym punkcie jesteśmy zgodni. W tym też punkcie dochodzi do głosu nader częste zjawisko kolizji teorii z praktyką. Muzealia zamku w Chojnie są własnością państwową i zasadniczo obowiązkiem czynników administracji państwowej było powołanie nadzorcy, opłacanego przez Państwo, który by z ramienia administracji państwowej sprawował opiekę nad zamkiem i jego zbiorami. Projekty takie istniały i rozbiły się przy próbach realizacji. Tu dochodzimy właśnie do sedna sprawy. Na to, aby sprawować opiekę nad zamkiem w Chojnie, trzeba na zamku tym mieszkać. Jest to niewątpliwa konieczność podyktowana topografią obiektu. Zamek w Chojnie stoi na stromym, otoczonym lasem wzniesieniu, w izolacji od siedzib ludzkich. Każde zejście do sklepiku we wiosce jest niewygodne i trudne. Wody na zamku nie ma i trzeba ją przynosić aż ze wsi. Niech mi autor reportażu w „Przekroju" wskaże fachowego nadzorcę, który za cenę płacy w skali uposażeń niższych funkcjonariuszy lub urzędników państwowych, zgodziłby się wegetować na zamku, zwłaszcza w porze zimowej. Gdyby ktoś taki się znalazł, musiałby to być albo jakiś oderwany od życia fanatyk nauki, albo człowiek całkowicie zrezygnowany.

Fakt pozostaje faktem, że człowieka takiego nie było i że nasz restaurator osiadły wraz z rodziną na zamku przetrwał, nie bezinteresownie, rzecz prosta, bo na tle swego handelku całą okropną zimę 1946/47 roku i że gdyby nie jego osoba, zapewne niewiele by już pozostało ze zbiorów, skoro pewne specyficzne warunki panujące na Dolnym Śląsku, sprawiły, że nawet pieczęcie państwowe położone na wrotach zamku ubiegłej wiosny, zostały po kilku już dniach zerwane. I jednak jest w pewnej mierze zasługą naszego poczciwego restauratora, może mimowolną nawet zasługą, że gdy po pierwszej mojej bytności w zamku w grudniu 46. roku zjawiłem się na nim po raz drugi, natychmiast po przeczytaniu czerwcowego reportażu Brandysa, stwierdziłem, że spośród zbiorów w międzyczasie nic nie zginęło, albo też prawie nic, zarówno jak nie dostrzegłem żadnych uszkodzeń lub zniszczeń.

Wszystko to jednak nie usprawiedliwia bynajmniej pozostawienia Obywatela Witka w roli nadzorcy na zamku. W sytuacji, jaka się wytworzyła, rozwiązaniem najbardziej celowym byłoby przekazanie całego obiektu wraz z jego wyposażeniem wewnętrznym jakiejś instytucji oświatowej, kulturalnej czy wychowawczej, która by działając w ścisłym porozumieniu z konserwatorskimi władzami zagospodarowała zamek i stworzyła zeń atrakcyjny punkt turystyczny. Wiem, że koncepcja taka jest aktualna obecnie, musi jednak upłynąć czas pewien, zanim zrealizuje się ostatecznie. Restaurację przejmuje Polska Spółdzielnia Turystyczna, a wkrótce jej dotychczasowy właściciel opuści zapewne zamek. Pan Brandys nie jest historykiem sztuki, lecz dziennikarzem, jest jednak poza tym, o ile mi wiadomo, prawnikiem i jako prawnik jest zapewne świadomy, przez jaki gąszcz paragrafów, okólników i ustaw musi przejść cała sprawa, zanim się ostatecznie uładzi.

Zamek już wkrótce przejdzie w ręce nowego zarządu. Układ zbiorów jest zły, jest niewłaściwy zupełnie i musi być całkowicie zmieniony pod kątem naukowych wymogów. Restauracja niewątpliwie zostanie. Może my, humaniści, wolelibyśmy, żeby jej nie było na zamku, zdobądźmy się jednak na realistyczne spojrzenie. Bez swinga i bez kolacyjek zakropionych obficie na pewno się nie obejdzie. Taki jest duch naszych czasów. Jedynym co może uczynić nowy zarząd restauracji zamkowej, to postarać się o złagodzenie form tego rodzaju rozrywek. Tego należy pragnąć i to można chyba osiągnąć.

Tadeusz Żelenay

Krótkie spięcia

Tram, tram, tram

Niedawno zacny PAP podał do prasy następującą wiadomość:

„Gdynia PAP. Przy Klubie Korespondentów Prasowych Wybrzeża powołano do życia Dziennikarskie Towarzystwo Naukowe. Nowa placówka, wśród poza ścisłą współpracą z warszawskim Instytutem Prasoznawczym będzie organizowała miejscową bazę pracy naukowej we wszystkich dziedzinach prasoznawstwa."

Że jak...?

A no że tak.

Otóż tu trzeba na powyższy temat wyjaśnić kilka uwag natury zasadniczej.

W Polsce ostatnio bardzo się rozpowszechnił typ ludzi, noszący w nomenklaturze naukowej miano: „Homo tromtadraticus". „Homo tromtadraticus" jest to typ, który nie potrafi niczego zrobić, czy powiedzieć po prostu. „Homo tromtadraticus" musi po pierwsze zawsze i wszędzie, jak to się mówi, upiększać myśl. Po drugie „Homo tromtadraticus" musi zawsze i wszędzie zrobić coś takiego, co by wskazywało, że on nie jest zwykłym człowiekiem. Bo „Homo tromtadraticus" jest, ho ho, nie byle kim. Po trzecie wreszcie „Homo tromtadraticus" stara się zawsze i wszędzie o tworzenie takich historii, które by powodowały uderzenie mu do głowy jak największej ilości wody sodowej. Bo bez tej wody sodowej w głowie „Homo tromtadraticus" nie może w ogóle żyć.

Wiemy wszyscy, że poziom dziennikarstwa polskiego nie jest zbyt wysoki. Wiemy to na podstawie czytania rozmaitych okazów naszej prasy, wiemy to na podstawie tam się znajdującej fantastycznej wprost ilości byków, zarówno rzeczowych jak i formalnych, wiemy to wreszcie na podstawie tzw. charakterystyki porównawczej z inną prasą.

A więc kształcenie się dalsze wielu dziennikarzy, zarówno zawodowe, jak i ogólne jest nie tylko ich potrzebą, ale i obowiązkiem.

Wszystko to jest w porządku. Ale dlaczego zaraz „Dziennikarskie Towarzystwo Naukowe"? Rozumiemy od biedy „Towarzystwo Naukowe", złożone z prowincjonalnych korespondentów? Co za bezmian tromtadracji tkwi w tym szyldzie! Co za pompa, napuszenie i pawiowatość w słowach niezdecydowanych!

„Dziennikarskie Towarzystwo Naukowe" w Gdyni? A dlaczego nie w Szczekocinach, albo w Lublinie w Puszczy? Przecież tam też są prowincjonalni korespondenci rozmaitych pism, uprawiający poczciwą wierszówkową reporterkę, mniej lub bardziej wykształceni i wykonujący swą robotę mniej lub bardziej ku zadowoleniu redaktorów naczelnych i wydawnictw. Dlaczegóż więc oni nie mogą zakładać „Towarzystw Naukowych"?

I cóż będzie to „Dziennikarskie Towarzystwo Naukowe" w Gdyni robiło? Będzie, jak czytamy, „organizowało miejscową bazę pracy naukowej we wszystkich dziedzinach prasoznawstwa". Dobrze. Ale co to jest „baza pracy naukowej"? Co to jest „prasoznawstwo"? Co chcą powiedzieć na temat prasoznawstwa korespondenci gdyńscy czy gdańscy? Po co te wielkie, a trudne, obce i rodzime wyrazy?

Rozumiemy — jakieś kółka dokształcające, rozumiemy jakieś kursy, rozumiemy wreszcie jakieś kluby, czy coś w ten deseń — ale „Towarzystwo Naukowe"? Korespondentów?

Tam do licha, panowie koledzy tromtadraccy z Wybrzeża, doprawdy za dużo wody sodowej, za dużo!

Akademia Umiejętności i tak was nie przyjmie na swoich członków. *Niejaki X.*

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul Martynowa 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49. Tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12.

R 14422